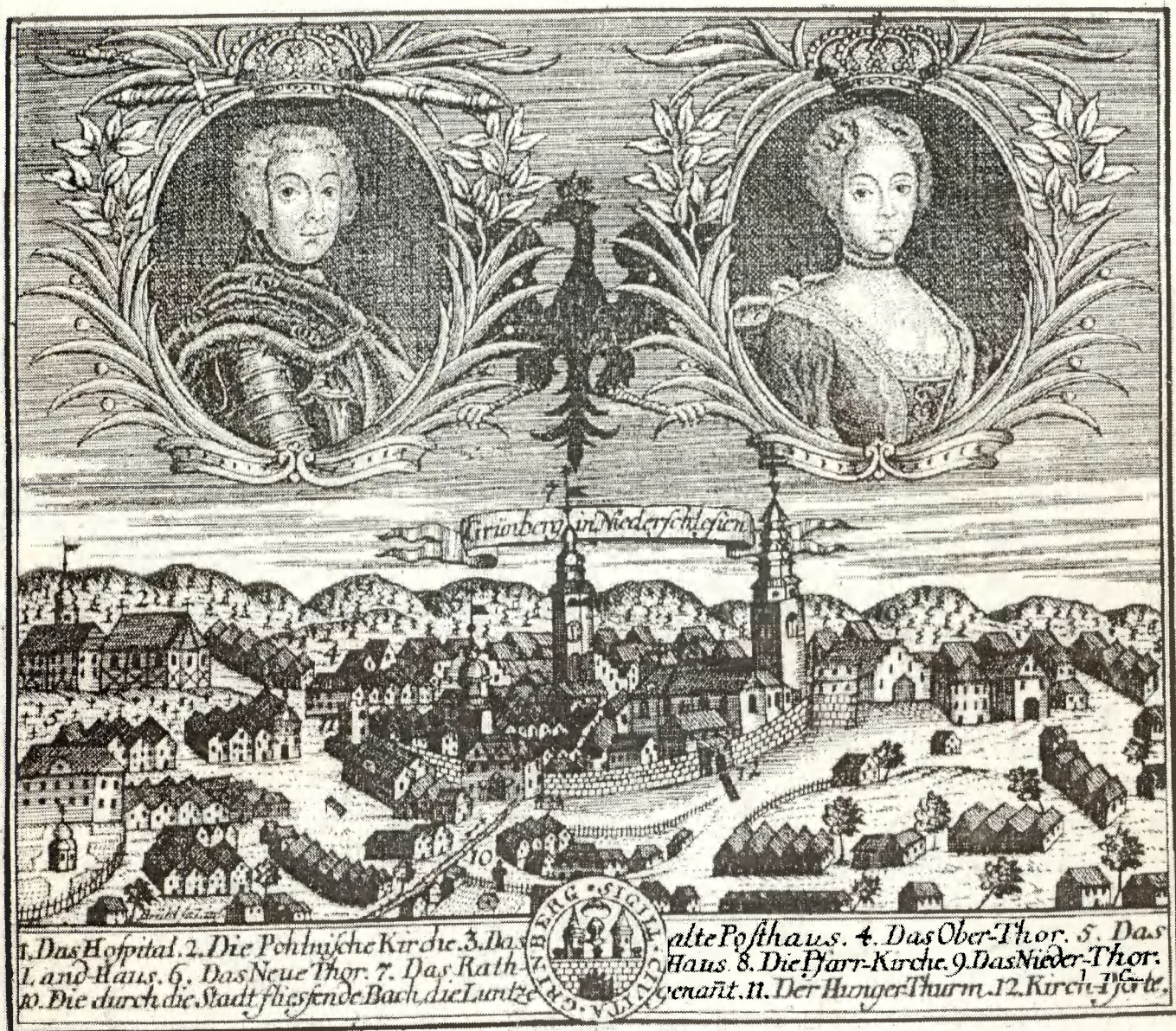


ISSN 1427-6720

Pionierzy

NR 3(10) 99 ROK IV
ZIELONA GÓRA
Cena 2 zł

CZASOPISMO SPOŁECZNO-HISTORYCZNE



Wojenne losy



Przyjaźń z książką



Wspomnienia i relacje



W walce z ogniem

W kręgu Ratusza

*Gwiazdy co zawsze świecą
nad starą wieżą ratusza
niebieszczą się i bielą
w ramionach Morfeusza*

*Niebo w odcieniu cynobru
zaległo nad miastem współweśnie
niby tu wszystko jak wszędzie
a jakoś to nie współcześnie*

*Snują się stare ulice
Krawiecka Masarska Drzewna
brzemienne w przeszłość historii
i w jakąś pewną niepewność*

*Tu został od przedpotomnych
świat staromiejskich zaułków
i wieje wieków patyna
starą starością bruków*

*Niby to nic niby drobiazg
lecz serce inaczej tu bije
bo chociaż miasto już inne
to stary świat w nim żyje*

Zenon Czarnecki



Wydawca:

Sekcja Historyczna Stowarzyszenia
Pionierów Zielonej Góry,
ul. Stary Rynek 1,
Ratusz – Sala Wspomnień,
65-067 Zielona Góra.

Redakcja:

Redaguje Kolegium w składzie:
Maria Gołębiowska,
Wiesław Nodzyński,
Tomasz Nodzyński,
Wojciech Strzyżewski.

Adres Redakcji:

ul. Stary Rynek 1,
Ratusz - Sala Wspomnień,
65-067 Zielona Góra

Skład komputerowy i opracowanie graficzne:

Heroldia P.R.

Korekta:

Ewa Nodzyńska

Okładka:

XVIII-wieczna rycina
z widokiem Zielonej Góry

Druk:

Drukarnia „EURODRUK”
Zielona Góra

Materiałów nie zamawianych
redakcja nie zwraca.
W materiałach nadesłanych
redakcja zastrzega sobie prawo
dokonywania zmian redakcyjnych.
Za treść reklam
redakcja nie odpowiada.

Od redakcji

Mały jubileusz, który zjawił się niepostrzeżenie. Wydajemy dziesiąty, trzeci w tym roku, numer „Pionierów”. A w nim: Ryszard Gałuszewski kończy interesującą opowieść o swoich pionierskich początkach w Zielonej Górze, zanim wyjechał z niej, by awansować w wojsku i w życiu. W ogóle, dużo w tym numerze pionierskich wspomnień. I tak: Grzegorz Chmielewski kontynuuje rozmowę z Kazimierzem Malickim, zasłużonym księgarzem, autorem słuchowisk radiowych i prozaikiem. Wiesław Nodzyński przypomina niespokojne dzieje dwójki niegdysiejszych przyjaciół, którzy byli w Zielonej Górze już w czerwcu 1945 r. Remigiusza Jankowskiego i Edwarda Tomczaka.

Opowieść o swoich trudnych, wojennych losach rozpoczyna członkini Stowarzyszenia Pionierów Helena Maria Wierzbicka. O latach trzydziestych XX wieku na Polesiu pisze Jadwiga Kolibabka. Zielonogórski fragment życiorysu wybitnego artysty-malarza Wiesława Müldner-Nieckowskiego przedstawia Jan Muszyński. Początki ZHP w Zielonej Górze przypomina hm Wiesław Cieśla. O dziejach zielonogórskich cmentarzy opowiada Małgorzata Tworowska. Po przerwie do prezentacji okolic Zielonej Góry powrócił Jerzy Ławniński.

W sumie i ten numer stanowi okazję do zróżnicowanej lektury.

WOJENNE LOSY

W 1939 r. pokonana Polska została podzielona między dwóch agresorów, a jej obywatele znaleźli się pod reżimem okupacyjnym. Kolejne lata wojny zmusiły miliony naszych rodaków do opuszczenia rodzinnych stron. Wielu, szczególnie byłych żołnierzy, zaraz po kampanii wrześniowej przedostało się do Francji, aby wstąpić do formujących się tam oddziałów polskich. Na terenach wcielonych do III Rzeszy rozpoczęła się realizacja długofalowego planu germanizacji. Część ludności została wywieziona do Generalnej Guberni lub skierowana na roboty przymusowe w głąb Niemiec, zaś pozostali, dobrowolnie lub pod przymusem, wpisano na tzw. niemiecką listę narodowościową (Deutsche Volksliste). Polacy nie mieli tutaj nawet prawa wyznawania we własnym języku wiary, ponieważ większość kościołów zamknięto, natomiast księży zesłano do obozów koncentracyjnych. Na masową skalę prowadzono również rabunek polskich dzieci. Jeszcze gorsza sytuacja panowała w Generalnym Gubernatorstwie, którego ludność zamierzano przekształcić w warstwę niewolniczą i w ten sposób powoli wyniszczać. Na porządku dziennym były tutaj terrorystyczne akcje, począwszy od ulicznych łapanek, a kończąc na zbiorowych egzekucjach prowadzonych przez całą okupację.

Równie ciężki los stał się udziałem Polaków, którzy znaleźli się pod panowaniem radzieckim. Obszary zajęte przez Armię Czerwoną poddano procesowi intensywnej sowietyzacji, polegającej na wprowadzeniu porządku prawnego i społecznego obowiązującego w ZSRR. Jednak najbardziej odrażającą praktyką nowych władz, mającą na celu złamanie polskiego ducha narodowego, były masowe deportacje ludności obejmujące całe rodziny a nawet grupy społeczne. Już w pierwszej połowie 1940 r. w straszliwych warunkach przetransportowano na Ural, do Kazachstanu i zachodniej Syberii ponad 300 tys. osób. Część trafiła do regionów, z których już się nie wracało – na Kołymę i Czukotkę. Deportacje kontynuowano również później. W ich wyniku do połowy 1941 r. wywieziono łącznie ok. 500 tys. ludzi.

Niezmiennie trudno w zwięzły sposób opisać wszystkie okrucieństwa, jakie w tych latach spotkały Polaków. Naród poniósł wielkie straty, działania wojenne, okupacja i zsyłki przyniosły śmierć ponad 6 mln osób. Prócz tego, w momencie zakończenia wojny spośród 24 mln obywateli naszego kraju, którzy ją przeżyli, aż 20% czyli ponad 5 mln znajdowało się poza granicami ojczyzny. Połowę z nich stanowili ci, których zawierucha wojenna i terror okupacyjny rozrzucił po świecie, połowę – mieszkańcy dawnych Kresów Wschodnich. Owe 5 mln stało przed decyzją: wracać czy nie wracać, przesiedlać się czy trwać, a kiedy wybierali życie w Polsce z nowymi już granicami, stanęli przed koniecznością stworzenia od podstaw własnej egzystencji. W wypadku przesiedlających się z ziem przejętych przez ZSRR – zawsze, a w wypadku powracających, jak wtedy mówiono, z „zachodu” – często było to równoznaczne ze znalezieniem się w obcym środowisku nie tylko geograficznym, ale i społeczno-kulturowym, za czym szła konieczność adaptacji do zupełnie odmiennych warunków.

Czas wojny i powojennego chaosu spowodował więc, że Polacy stali się narodem wędrowców. Od 1939 r. do roku 1950

co czwarty obywatel naszego kraju zmienił miejsce zamieszkania. Wykorzenienie milionów ludzi z ich dotychczasowego środowiska i konieczność dostosowania się do nieznanego środowiska wpływały w sposób niebagatelny na postawy i zachowania, osłabiały istniejące więzi społeczne – rodzinne, lokalne, sąsiedzkie.

Dla wielu powracających z przymusowych robót w Niemczech, z obozów jenieckich i koncentracyjnych, z byłych obszarów Polski na wschodzie i z głębi ZSRR, ogromne szanse stwarzała kolonizacja przyłączonych ziem na zachodzie i północy kraju. Nierzadko otwierały się tutaj możliwości kariery, awansu społecznego, wzbogacenia się lub po prostu spokojnego życia. Mimo więc powszechnego poczucia niepewności i tymczasowości związanego z nieuregulowanym statusem prawnym obszarów poniemieckich zainteresowanie nimi było znaczne i z miesiąca na miesiąc nabierało tempa.

Początkowy okres osadnictwa na obszarach nazywanych wówczas Ziemią Odzyskaną określa się mianem pionierskiego. Jego początek nastąpił od momentu pojawienia się tutaj pierwszych osadników i administracji polskiej, kiedy trwały jeszcze działania wojenne. Okoliczności sprzyjały wtedy współdziałaniu ludzi napływających na Ziemię Odzyskaną, którzy w obliczu trudności i niebezpieczeństw trzymali się zazwyczaj razem, by w razie potrzeby, stawić czoła przewidzianym i nieprzewidzianym sytuacjom i zdarzeniom. Osadnikami byli w tym czasie głównie osoby pochodzące z powiatów przygranicznych ziem dawnych lub rzadziej, powracający z obozów i robót w Niemczech. Nieco później na tereny poniemieckie zaczęli przyjeżdżać osadnicy, których transportowano specjalnymi pociągami wahałkowymi. Inni, zwłaszcza z miejscowości położonych bliżej dawnej granicy przybywali wszelkimi dostępnymi środkami transportu, łącznie z pojazdami konnymi czy nawet pieszo. Władze obiecywały niejednokrotnie potencjalnym osiedleńcom, że na zachodzie czekają na nich nie zniszczone, murowane gospodarstwa w zelektryfikowanych wioskach i piękne domy w miastach. Niestety rzeczywistość zazwyczaj znacznie odbiegała od roztaczanych wizji.

Na Ziemiach Odzyskanych doszło do niespotykanego zderzenia kultur wynikającego z zetknięcia się tutaj wielu grup ludności o zróżnicowanym pochodzeniu regionalnym, odmiennym bagażu cywilizacyjnym i poczuciu narodowym, różnorodnych wyznaniach oraz motywach przybycia na te ziemie. Nastręczało to wiele problemów i nie sprzyjało, zwłaszcza w obliczu skomplikowanej sytuacji politycznej i gospodarczej, trwałej integracji nowej społeczności.

Na Ziemi Lubuskiej pierwsi osadnicy pojawili się już wczesną wiosną 1945 r. Przywitały ich bezludne ruiny miast i osiedli wiejskich, zniszczone lub spustoszone zakłady przemysłowe, opuszczone warsztaty rzemieślnicze i placówki handlowe. Bardzo niekorzystnie wyglądały w tej sytuacji warunki aprowizacyjne i mieszkaniowe. Nie zawsze starczyło artykułów na pokrycie skromnych przydziałów kartkowych. W wielu mniej zdeprawowanych miastach szwankowały urządzenia komunalne i sanitarne. Bywało, że kilka rodzin korzystało z jednej łazienki czy kuchni. Osiedleńcy, stawiając czoła olbrzymim trudnościom musieli samodzielnie organizować sobie życie.

Robert Skobelski

Rodzina Jankowskich, rdzennych poznaniaków, całą okupację niemiecką spędziła w Poznaniu. Udało im się uniknąć wysiedlenia, co było udziałem wielu innych obywateli tego miasta, Remigiusz Jankowski zdobył zawód elektryka. Dla budżetu i egzystencji rodziny miało to istotne znaczenie. Miał już 20 lat kiedy walki o Poznań dobiegały końca. I w tych ostatnich dniach wojny seria pocisków z katuszy zniszczyła ich mieszkanie przy ul. Strzeleckiej. Przez jakiś, na szczęście krótki czas, mieszkali u sąsiadów w piwnicy. I to sprzyjało myśleniu, że trzeba szukać szczęścia poza Poznaniem.

Pionierskie życiorysy

W rodzinnym gronie Jankowskich, z którymi był blisko związany Edward Tomczak, inwalida bez lewej ręki po powstaniu warszawskim, wybór padł na Zieloną Górę. Wieści o walorach tego miasta docierały już do Poznania. I tak w maju 1945 r. na dworcu PKP zebrała się grupa osób (dziewięciu mężczyzn i jedna kobieta) wyposażonych w skierowania PUR. Wyjechali pociągiem z Poznania do Czerwieńska.

Była piękna, majowa pogoda. Tym bardziej rzucał się w oczy obraz ówczesnego Czerwieńska. To schludne niegdyś miasteczko było kompletnie wybebeszone przez szabrowników. Do Zielonej Góry dotarli wzdłuż torów kolejowych. Zatrzymali się przy ul. Bahnhofstrasse (dzisiejsza al. Niepodległości), gdzie grupa żołnierzy radzieckich zajęta była budową pomnika, którego jednym z elementów były dwie armaty kal. 45 mm na chwałę poległych, m.in. przy zdobywaniu miasta, współtowarzyszy broni z armii gen. Gordowa. Ugościli oni przybyszów tuszonką i stakanem wódki. I kiedy już mieli się rozglądać za jakąś kwaterą i robotą (urzędował już w mieście pełnomocnik KERM-u inż. Paszyński) pojawił się groźnie wyglądający oficer sowiecki i zaprowadził ich do siedziby NKWD mieszczącej się w budynku obecnego Muzeum Lubuskiego. W trakcie nieprzyjaznej rozmowy oświadczył, „że tu Polski nie będzie nigdy”. Wywieziono ich z powrotem do Czerwieńska z nakazem wyjazdu do Poznania.

Nazajutrz wrócili do Zielonej Góry. Od inż. Paszyńskiego dowiedzieli się, „że tu jest i będzie Polska i dlatego jesteście potrzebni”. Takie to były czasy. Pan Jankowski został zatrudniony jako strażnik miejski, bo policji jeszcze nie było, a było czego pilnować, bo i tu szabrownicy dawali się we znaki. Edward Tomczak, późniejszy wieloletni dziennikarz Gazety Zielonogórskiej, Rozgłośni PR, Zachodniej Agencji Prasowej, znalazł pierwsze mieszkanie w domku przy ul. Jaskółczej, dokąd wkrótce ściągnął matkę. Pan Remigiusz zamieszkał w budynku przy ul. Kupieckiej 4 (dawniej Pionierskiej), w którym mieszka do dzisiaj. Ponieważ posiadał zawód elektryka, zrezygnował z pracy w straży i zatrudnił się w warsztacie elektrycznym, mieszczącym się przy dzisiejszym placu Wielkopolskim. Długo tam jednak nie pracował, zniechęciło go nadmierne pijaństwo pryncypała. Próbował więc na własną rękę: uruchomił warsztat i sklep elektrotechniczny przy ul. Pionierskiej. I być może interes by się kręcił do czasu, kiedy zaczęto uspołeczniać rzemiosło – zapotrzebowanie na tego typu usługi było duże.

W międzyczasie jednak zdarzyło się coś, co spowodowało przerwę w jego zielonogórskim życiorysie. Za odmowę stałej współpracy z Urzędem Bezpieczeństwa – przyczynili się z Tomczakiem do ujawnienia dwu ukrywających się w Zielonej Górze gestapowców – groziło im aresztowanie. Zdecydowali się uciekać na Zachód. Na przełomie 1945-46 przekroczyli nielegalnie granicę państwową w okolicy Szczecina. Dotarli aż w okolice Hanoweru. I podjęli służbę w kompanii wartowniczej na terenie byłego obozu koncentracyjnego w Bergen-Belsen. Po jakimś czasie Jankowski otrzymał list od ojca, który już także znalazł się w Zielonej Górze, był jednym z organizatorów zielonogórskiej poczty. Wzywano go do odbycia służby wojskowej. I to jakoś świadczy o człowieku: mimo perspektyw urzą-



Załoga I Urzędu Skarbowego w Zielonej Górze, 1946 r.

dzenia się na Zachód – wrócił do Zielonej Góry. Służbę wojskową odbywał na granicy, którą niedawno przebyli w drodze do Niemiec. Nie wspomina jej źle – bo jak mówi – mogło być gorzej.

Po powrocie do cywila nastał dla niego czas normalizacji. Rozpoczął pracę w Urzędzie Skarbowym, gdzie poznał swoją żonę Marię Kazimierę. Dochowali się dwójki dzieci. Syn Ryszard Jankowski urodził się w 1951 r. obecnie jest właścicielem warsztatu elektrotechnicznego. Córka Izabela urodziła się w 1952 r., jest pracownicą II Oddziału PKO BP w Zielonej Górze. Sam p. Remigiusz jeszcze kilka razy zmieniał pracę.

Pracował m.in. w Zastalu, w PSS, najdłużej jednak w Wydziale Finansowym UW, skąd przeszedł w 1977 r. na rentę. Do dzisiaj ciepło wspomina swego byłego szefa, Tadeusza Gołębiowskiego. To był wspaniały człowiek – twierdzi.

Nie skończyła się przyjaźń z Edwardem Tomczakiem. I on wrócił do Zielonej Góry. Po utworzeniu województwa zielonogórskiego rozpoczął pracę dziennikarską w redakcji Gazety. Po przejściu na emeryturę nie mógł się odnaleźć. Kilka lat temu zginął w nie wyjaśnionych do końca okolicznościach w wy-

padku samochodowym. Natomiast p. Remigiusz Jankowski z pasją oddał się zbieractwu, które zainteresowało go już wkrótce po przyjeździe do Zielonej Góry. Ma w swoich zbiorach stare pocztówki zielonogórskie, plany miasta, dawną ikonografię, szkło związane z konsumpcją wina, dokumenty i pamiątki życia społecznego i kulturalnego Zielonej Góry. Niedawno część tych zbiorów pokazał na wystawie w Muzeum Ziemi Lubuskiej.

Wiesław Nodzyński

Ryszard Gałuszewski Niektóre wspomnienia z mojego życia (cz. III) albo niektóre wspomnienia pioniera Ziemi Odzyskanych

Rok 1948 dobiegał końca. Dla mnie i wielu ludzi w mieście poważnym akcentem było uroczyste pożegnanie na stacji kolejowej PKP delegatów na Kongres Zjednoczeniowy PPR i PPS udających się do Warszawy. Był specjalny pociąg dla delegatów, była orkiestra, było dużo ludzi a wśród nich grono kolegów z naszej grupy. Mój udział w tym zgromadzeniu był też świadectwem dojrzwania politycznego.

Rok ten zakończył się postanowieniem, że zacznę jakieś nowe życie, tym bardziej, że nauka moich kolegów dobiegała końca i każdy zaczynał już myśleć o dorosłym życiu, a ja z 15-letniego chłopca wyrosłem na prawie 19-letniego młodzieńca. W tej atmosferze, doskwierała mi coraz bardziej świadomość, jak bardzo odstawałem od otaczającego mnie życia i środowiska.

Szukanie swojego miejsca w życiu

Rok 1949 okazał się dla mnie początkiem okresu prawdziwego poszukiwania swojego miejsca w życiu. Od początku roku zacząłem brać udział w ćwiczeniach wojskowych organizowanych przez Komendę Powiatową „Służba Polsce”, mieszczącą się w hali sportowej przy ul. Widok. Tam też odbywały się zajęcia z wiedzy ogólnej. W pogadankach dowiadaliśmy się o możliwościach pracy i zdobycia zawodu przy pomocy tej organizacji. Szkolenie w systemie dochodzącym zakończyło się wyjazdem do 41 Brygady „SP” stacjonującej w Brzeziu, położonym gdzieś pośrodku drogi między Bochnią a Wieliczką. Przebywałem tam od 6 lipca do 24 sierpnia. Pracowaliśmy przy budowie odcinka zupełnie nowej drogi, właśnie łączącej te dwa miasta. Pobyt i praca w Brygadzie „SP” uczyły wytrwałości, rzetelności i poczucia dobrze rozumianego koleżeństwa. Tam też, na prowadzonych z junakami zajęciach, polityczno-wychowawczych, rozszerzone zostały nieco moje horyzonty myślowe. Tu też podjąłem decyzję o wstąpieniu do Szkoły Oficerskiej Artylerii Nr 2 w Olsztynie. Po przejściu wszystkich badań lekarskich przed Wojskową Komisją Lekarską w Krakowie, razem z grupą otrzymałem skierowanie i w sierpniu wyjechałem do Olsztyna. W szkole dowiedzieliśmy się,

że życie nasze będzie polegało na przygotowaniu nas do egzaminów i pracy przy porządkowaniu koszar. Egzamin wstępny nie wypadł dla mnie korzystnie z powodu dużych braków w matematyce. Po zakończeniu egzaminów wstępnych, miałem do wyboru: albo wyjazd do Oficerskiej Szkoły Piechoty albo powrót do domu i czekanie na pobór wojskowy w normalnym terminie. Ponieważ nie chciałem być piechurkiem, więc wybrałem powrót do domu. Artylerzystą i tak zostałem, ale znacznie później.

Wracając z Olsztyna do Zielonej Góry, po drodze odwiedziłem w Darłowie Brata Zenka, z którym widzieliśmy się po raz ostatni wiosną 1945 roku w Sochaczewie. Spotkanie nasze po paru latach do radosnych nie należało. Był on bardzo zaniedbany i też chciał się uczyć. Zabrać Brata nie miałem dokąd, więc po dokonaniu zakupu nowej odzieży i umieszczeniu Go w szkolnym internacie, rozstaliśmy się ponownie. Oczywiście odwiedziłem też w Świebodzinie swoją sympatię Helenę Muchę. Wtedy to chyba, po raz pierwszy, pojawiło się w naszych planach życiowych zawarcie związku małżeńskiego. Po powrocie do Zielonej Góry, zacząłem natychmiast organizować sobie życie po nowemu. Czas spędzony w „SP” okazał się dla mnie dobrą szkołą życia. Sprawy potoczyły się bardzo szybko. Na początku września 1949 roku zapisałem się na semestr wstępny do Koedukacyjnego Wieczorowego Gimnazjum i Liceum dla Dorosłych, mieszczącego się na pl. Słowiańskim. Od 16 września tego roku rozpocząłem pracę w Państwowej Fabryce Dywanów Nr 14, mieszczącej się przy ul. Krakusa 18.

Mój rytm życia zaczął się rozkładać między pracę w fabryce w godzinach dziennych, a intensywną naukę w szkole w godzinach wieczornych. Dziś już nie umiem powiedzieć, co było dla mnie w tym czasie ważniejsze: praca czy nauka. Zatrudnienie w Dywanach dawało środki do życia. Wieczorówka uzupełniała powstałe luki w wiadomościach, które to odczuwałem coraz bardziej w życiu codziennym. Wiem natomiast, że robiłem bardzo szybkie postępy w opanowaniu zawodu tkacza dywanów i po stosunkowo krótkim

okresie nauki, otrzymałem już samodzielnie maszynę do produkcji wąskich, gładkich chodników. Nie musiałem długo oczekiwać na przydział bardziej nowoczesnego krosna tzw. półautomatu, który był o wiele bardziej wydajny i produkowało się na nim znacznie szerszy, ale dalej gładki chodnik. Jednak uznanym tkaczem zostałem już po 8 miesiącach, kiedy to po złożeniu odpowiedniego egzaminu, otrzymałem maszynę żakardową (Jacquard), tj. taką, jaka posiada dodatkowe urządzenie do produkcji dywanów w różnych wzorach. W tym okresie bardzo dużo zawdzięczałem ludziom, którzy mnie otoczyli opieką i udzielili dużej pomocy w moim awansie zawodowym. Do ludzi bardzo mi życzliwych zaliczam: Józefa Bobrowskiego, który z tkacza awansował na personalnego, Piotra Skupniewskiego – tkacza osiągającego wysoką wydajność pracy, ciągle się spieszącego, ale cierpliwego dla mnie i dobrego nauczyciela zawodu. Michaka (?) Myszkę – tkacza, który dzielił się często ze mną śniadaniem, człowieka nie palącego papierosów, bowiem głosił on, zgodnie z wyznawaną przez niego religią, że Pan Bóg nie wyposażył człowieka w komin, aby ten mógł wydalać z siebie dym papierosowy. Ogółem jednak nie było w fabryce klimatu do nawiązywania bardziej przyjacielskich kontaktów osobistych, bowiem na produkcji, każdy był tylko zainteresowany wykonaniem i przekroczeniem normy, a to dawało zwiększony zarobek i odpowiednie miejsce na „Tablicy Przodowników Pracy”. To oczywiście dawało też uznanie wśród załogi.

Zupełnie inaczej było w wieczorówce. Tu klasa moja stanowiła zespół ludzi, których łączyła wspólna chęć zdobywania wiedzy, pomoc udzielana odstawającym z poszczególnych przedmiotów, wspólne pogaduszki na przerwach, a nawet razem spędzone imieniny. To nas łączyło. W klasie naszej uczył się Komendant Rejonowej Komendy Uzupełnień – kapitan Wojska Polskiego, frontowiec-inwalida ze sztywną jedną ręką. Była Helena Sikorska, dziewczyna bardzo młoda z siwymi włosami po przeżyciach wojennych. Był Romek (?) Narkiewicz, sympatyczny kolega, którego podczas lekcji „poprosiło” o wyjście z klasy wraz ze wszystkimi rzeczami osobistymi, „dwóch smutnych panów”, a o którym wszelka wieść zaginęła. Była przesympatyczna, bardzo „puszysta” blondyna Krysia, pracująca jako kasjerka w aptece pod Filarami. Była bardzo młoda, z rudokasztanowymi włosami, Czesia Rączka, która chyba podkochiwała się we mnie, ale moje zainteresowania w tym czasie skierowane były gdzie indziej. Było też bardzo cenione przez nas grono nauczycieli. Na szczególny nasz szacunek zasłużyła sobie nauczycielka języka polskiego Pani Stawska (?) – osoba w bardzo podeszłym wieku, bardzo źle widząca, więc uczniowie wieczorówki przyprowadzali ją i odprowadzali z domu do szkoły i z powrotem. Imponowała nam pasją w nauczaniu języka polskiego i znajomością na pamięć całego „Pana Tadeusza”, co udawadniała nam często podczas lekcji.

Wspomnienia z tamtego okresu, zostaną chyba w nas wszystkich na zawsze, bowiem najważniejszy był fakt, że zdobywamy upragnioną wiedzę, że likwidujemy zaległości powstałe podczas wojny.

W 1950 roku, kiedy utworzone zostało województwo zielonogórskie, miasto zaczęło rozwijać się bardzo dynamicznie. Również w moim życiu zaistniały bardzo istotne zdarzenia, a zaliczam do nich:

1) w czerwcu otrzymałem upragnione świadectwo gimnazjum wieczorowego z promocją na drugi semestr,

2) 3 sierpnia zawarłem związek małżeński z Heleną Muchą w Świebodzinie, a we wrześniu otrzymaliśmy własne mieszkanie na ul. Wiejskiej Nr 6 (obecnie 11),

3) 23 września ukończyłem kurs wprowadzający do zawodu nauczycielskiego, zorganizowany przez Wydział Oświaty Prezydium Państwowej Rady Narodowej w Zielonej Górze.

1 października zwołałem się z pracy w Fabryce Dywanów i zgodnie ze skierowaniem Wydziału Oświaty, rozpocząłem pracę, jako nauczyciel niewykwalifikowany, w Szkole Podstawowej TPD Nr 1 na pl. Słowiańskim. Szedłem tam pełen niepokoju i z obawą, czy sobie poradzę z tym nowym wyzwaniem. Czy zostanie zaakceptowany przez grono nauczycielskie i dzieci, z którymi będę miał kontakt! Uważam, że obawy moje były uzasadnione, ponieważ nie czułem się w pełni przygotowany do tej odpowiedzialnej roli. Pocięchą dla mnie był fakt, że takich jak ja, wyszło z mojego kursu ponad 20 osób, a każdy chyba miał obawy podobne do moich. Naszą przydatność w szkolnictwie potrafił też wspaniale umotywić pan Czajkowski – Kierownik Pedagogiczny Kursu, a zarazem Kierownik Wydziału Oświaty. Jednak nie ukrywał on tego, że każdy z uczestników kursu, musi podjąć natychmiast naukę w Liceum Pedagogicznym, aby zdobyć pełne kwalifikacje konieczne w zawodzie nauczyciela. Do nowego miejsca pracy udaliśmy się we dwóch z kol. Szklarzem, który kurs ukończył razem ze mną. W szkole TPD Nr 1 przyjęła nas bardzo miło, uprzedzona o naszym przybyciu, jej kierowniczka – Pani Modzelewska (wieść niesła, że była ona pierwszą żoną Zygmunta Modzelewskiego, Ministra Spraw Zagranicznych w latach 1947-1951). Tam poznałem grono bardzo doświadczonych nauczycieli, z którymi szybko się zaprzyjaźniłem, a szczególnie zachowałem w życzliwej pamięci: Panią Borowską, uczącą języka polskiego i historii, Panią Dziewulską – uczącą języka rosyjskiego, Panią Penkin – specjalizującą się w nauczaniu klas I i II, Pana Sienkiewicza – uczącego śpiewu i przygotowującego wszystkie uroczystości szkolne, Koleżankę Żukowską – zakochaną w historii, Kolegę Giercarza – ciągle się spieszącego, a uczącego fizyki i chemii, Kolegę Kubiaka – strasznie poważnego pana głoszącego, że tylko matematyka jest godna nauczania przez prawdziwego mężczyznę. Mnie zostało przydzielone wychowanie klasy III c, która uchodziła w szkole za jedną z klas „trudnych”. Była to gromadka bardzo sympatycznych dzieciaków, ale bardzo zróżnicowana pod względem stanu opieki rodzinnej, a niektóre dzieci były wiekowo przerosnięte w klasie. Niektóre dzieciaki utkwiły w mojej pamięci chyba na zawsze. Choćby Henio Szydłowski, który miał bardzo sympatyczną buzię i białopłową czuprynę, był wyrośnięty, lubił popalać papierosy i chodzić na wagary, ale deklarował zawsze chęć udzielania mi pomocy, aby był porządek w klasie. Miał jednak wstręt do nauki i odrabiania lekcji domowych. Jego matka, samotnie wychowująca tego jedynaka, często ze mną rozmawiała na jego temat (pełniła ona funkcję Przewodniczącej Zarządu Wojewódzkiego TPPER). Jurek i Andrzej Niemirscy, byli bliźniakami, tak do siebie podobnymi i jednako ubieranymi, że tylko naszyte na odzieży litery „A” i „J”, pozwalały ich odróżnić. Ale, gdy np. dla zabawy sweterki wymienili, to nie było mowy, żeby ich odróżnić (ich ro-

dzie prowadzili sklep z instrumentami przy pl. Lenina). Obaj, łącznie z Romkiem Skibińskim, rywalizowali między sobą w „gromadzeniu” przeróżnych książek. Pamiętam Marysię Mroczkowską (?), która przyniosła mi na imieniny zegarek na rękę. Zegarek ten zaginął w domu w nie ustalonych okolicznościach.

Była też w klasie bardzo pilna i zdolna uczennica Bogusia Klucińska (ojciec jej był autorem sztuki teatralnej o czasach okupacji hitlerowskiej w Polsce, pt. „Prawdziwe oblicze”). Sztuka ta, wystawiana na scenie teatru miejskiego, cieszyła się dużym zainteresowaniem społeczeństwa miasta. O wszystkich Was kochane dzieciaki, (a dziś mające już ponad 55 lat) pisać nie jestem w stanie, ale WAS serdecznie pozdrawiam.

Wkrótce, dotychczasowa kierowniczka szkoły, została zastąpiona przez Pana Mejnartowicza, który okazał się osobą bardzo energiczną i aktywną społecznie. On właśnie starał się o to, aby mnie włączyć w nurt życia politycznego i społecznego. Tak więc, wkrótce zostałem opiekunem szkolnego Koła Ligi Morskiej. Zostałem też czynnym prelegentem Towarzystwa Wiedzy Powszechnej. Na terenie szkoły zaczęło działać „Ognisko Niedzielne” pod patronatem TPD, którego zostałem kierownikiem. Podczas wakacji zostałem kierownikiem kolonii letniej w Kępicach, pow. Miastko, a w roku następnym w Sulechowie i Szarczu koło Pszczewa.

Przez cały okres pracy w szkole koleżanka Penkin, jako sekretarz Oddziału Grodzkiego Związku Zawodowego Nauczycielstwa Polskiego, starała się o to, aby mnie zainteresować działalnością tego związku. Już 1 października 1951 roku zostałem wybrany na Przewodniczącego ZOZ przy Szkole Podstawowej TPD Nr 1 i byłem nim do 3 września 1952 roku, kiedy to od 01.09.52 do 31.08.53 Ministerstwo Oświaty udzieliło mi urlopu bezpłatnego celem odbycia studiów stacjonarnych w Centralnej Szkole Związków Zawodowych w Warszawie. Oczywiście, przez cały okres pracy w szkole, równoległe z pracą zawodową i działalnością społeczną, trwało intensywne uzupełnianie wiedzy pedagogicznej i ogólnej. Wiedzę pedagogiczną uzupełniałem w systemie korespondencyjnym w Liceum Pedagogicznym w Sulechowie. Podstawą wiadomości pedagogicznych był podręcznik Gonczarowa. Nauka psychologii oparta była o podręcznik Tiepłowa, a wychowanie o metody Makarenki i Korczaka. Źródłem wiedzy ogólnej, dostępnym dla mnie w tym czasie, była „Wszechnica Radiowa”, a szczególnie, bardzo dobrze opracowane skrypty. Ten system uzupełniania wiedzy trwał do mojego wyjazdu i rozpoczęcia nauki w Centralnej Szkole Związków Zawodowych w Warszawie na ul. Grenadierów 51/59. Faktycznie okres nauki w tej szkole, trwał od 12 września 1952 roku do 26 lipca 1953 roku. W szkole panowała dosyć duża dyscyplina. W ciągu dnia nauka była obowiązkowa, a obecność na każdych zajęciach sprawdzana. Po przerwie obiadowej, odbywała się programowa nauka własna, w odpowiednich zespołach pomocowych. Po godzinie 22⁰⁰, na nieobecność w internacie, potrzebna była specjalna przepustka. Na uwagę zasługuje fakt, że rygor ten obowiązywał dorosłych ludzi, a część z nich zajmowała wcześniej poważne stanowiska w związkach zawodowych, od Centralnej Rady Związków Zawodowych do szczebli najniższych, we wszystkich strukturach branżowych. Po ukończeniu szkoły, każdy z nas otrzymywał odpowiednie świadectwo i stawał się przygotowanym, etatowym

pracownikiem związków zawodowych. Ja otrzymałem skierowanie do Okręgowej Rady Związków Zawodowych w Zielonej Górze, na stanowisko starszego instruktora Wydziału Szkolenia. ORZZ mieściła się w budynku dawnej restauracji „Parkowa”, przy zbiegu ulic Dąbrówki i Krośnieńskiej.

Jednak praca moja, jako etatowego działacza związkowego, trwała tylko od 1 października 1953 roku do 15 listopada 1953 roku. W tym czasie Urząd Bezpieczeństwa „zaprosił” mnie na drugą rozmowę w życiu w tej instytucji. Tym razem podczas rozmowy zaproponowano mi pracę w UB. Ponieważ nie wyraziłem zgody na tę propozycję, więc postanowiono dać mi czas do namysłu i do rozmowy powrócić raz jeszcze. Ale do rozmowy powtórnej już nie doszło, ponieważ dzień 10 listopada, był dniem uroczystego pożegnania mnie przed odejściem do wojska. Uroczystość odbyła się w pomieszczeniu ORZZ i była na tyle huczna, że rano musiało się zebrać Prezydium ORZZ, aby rozpatrzyć sprawę zachowania się niektórych jego uczestników. Ale mnie już to nie dotyczyło. Ja byłem już w innym świecie ówczesnej rzeczywistości. Już 15 listopada 1953 roku zostałem wcielony do pułku artylerii w Strzegomiu, a służba miała trwać tylko 2 lata. Tak się jednak nie stało, ponieważ przedłużała się aż do 10 grudnia 1985 roku. Wspomnienia obejmujące ten okres mojego życia opisane zostaną w części następnej.

Zakończenie

Decydując się na pisanie wspomnień sądziłem, że będzie to kilka spostrzeżeń z czasów pionierskich na Ziemiach Odzyskanych, przeznaczonych dla Redakcji Czasopisma Społeczno-Historycznego „Pionierzy”. Jednak w miarę pisania zauważyłem, że spraw jest tak wiele, iż opracowanie zaczęło niepokojąco się rozrastać. Dlatego w końcowej fazie opisu, byłem przekonany, że materiał ten do publikacji się nie nadaje, ale jednak pisałem dalej. Pisałem dalej, już na użytek najbliższej rodziny i najmłodszego pokolenia z mojego otoczenia. Chodziło już tylko o to, żeby dzieci, wnuczka i rodzina dowiedziały się czegoś o przebytej drodze życia swojego ojca i dziadka. Żeby wiedziały, iż w życiu każdego człowieka są takie miasta, do których człowiek jest przywiązany, często je wspomina i chętnie odwiedza. W moim życiu szczególnie mocno zaznaczyły się trzy miasta – Warszawa, Zielona Góra i Zgierz koło Łodzi:

– Warszawa była miastem mojego urodzenia, wczesnego dzieciństwa, przeżyć we wrześniu 1939 r., okupacji hitlerowskiej i tragicznych doświadczeń powstania 1944 roku,

– Zielona Góra stała się miastem mojej młodości, miastem, które przygarnęło mnie jako przybysza ze zniszczonej stolicy, chociaż samo dopiero budziło się do życia w nowych granicach Polski, było miastem początków mojego samodzielnego życia i rozpoczynającej się pracy zawodowej, było oazą spokoju po przeżyciach wojennych,

– Zgierz koło Łodzi wypełnił lata mojej młodości i prawie całe życie zawodowe oraz przejście na emeryturę, ale to wymaga opisanego jako Część III – „Służba wojskowa i jesień życia”, obejmująca okres od listopada 1953 roku do dni dzisiejszych. Dziś obiecuję sobie, że i ten okres mojego życia jeszcze opiszę.

Oczywiście, ktoś czytający wspomnienia może zadać pytanie – czy ty napisałeś o wszystkich wydarzeniach twojego życia? Odpowiedź będzie jednoznaczna – nie! A przyczyn jest kilka: pierwsza wynika z tego, że okres ponad 50

lat mojego życia, przyniósł wiele spraw, a ja wspominam tylko o tych, które najmocniej zarysowały się w mojej pamięci, bądź też uważam, że były one bardzo istotne; druga wynika z tego, że opisanie niektórych spraw naruszyłoby tzw. „dobrą osobistą” osób opisywanych, a tego uczynić w żadnym wypadku nie chcę; trzecia przyczyna polega na tym, że opisywanie doznanych krzywd, od niektórych ludzi,

może pokazać mnie w sytuacji „ofiary”, a tego po prostu nie chcę; czwarta, z czego obecnie zdaję sobie sprawę, to czyni „mało chwalebne”, jakie zdarzyło mi się też popełnić, a jakich należy się wstydzić; ze wspomnieniami tych zdarzeń wolę więc pozostać na zawsze „sam na sam”.

Przyczyny powyższe uzasadniają też użycie w tytule sformułowania „Niektóre wspomnienia...”

Z Kazimierzem Malickim, pionierem zielonogórskiego księgarstwa, autorem słuchowisk radiowych i prozaikiem, kontynuuje rozmowę Grzegorz Chmielewski

Przyjaźń z książką

II



W 1950 r. rozpoczęła się epoka działalności PP „Dom Książki”, domyślałam się, że włączenie istniejących księgarni do nowo tworzonej, jednolitej sieci księgarskiej musiało nastręczyć sporo trudności.

Już w czasie warszawskiej narady, zwołanej w końcu 1949 r. dla omówienia nowej organizacji księgarstwa, uświadomiłem sobie ogrom pracy, jaka czeka mnie i moich kolegów.

Rzeczywistość okazała się jednak gorsza od wcześniejszych domysłów i wyobrażeń. Zawaleni różnorakimi arkuszami spisowymi, pracowaliśmy przez tydzień po 15-18 godzin dziennie, przy czym koleżanki nieraz zasypiały w czasie tej męczącej. Po tygodniu utworzyliśmy księgarnię, aby umożliwić zainteresowanym dostęp do książek, a sami jeszcze przez dwa tygodnie, pracując w świątek i piątek po kilkanaście godzin dziennie, uzgadnialiśmy wyniki inwentaryzacji. Po prawie trzytygodniowej morderczej pracy byłem tak wyczerpany, że gdy wreszcie udałem się do domu, aby wypocząć, nie mogłem zasnąć. Gdy wreszcie zasnąłem po zażyciu trzech pastylek luminalu obudzono mnie, aby oznajmić, że przyjechał inspektor z Zarządu Wojewódzkiego „Domu Książki” w Poznaniu. Półprzytomny wyszedłem z gościem złożyć wizytę władzom miejskim, które poinformowaliśmy o nowej organizacji księgarstwa, a następnie, po podpisaniu wielu dokumentów, przekazałem inspektorowi spisy inwentarzowe, które z pewnym trudem zmieściły się w dużej walizce. Tak zaczęła się dla mnie „epoka” „Domu Książki”, przedsiębiorstwa państwowego, które początkowo, przez krótki czas, nosiło nazwę „Domu Książki Polskiej”.

Powstanie sieci księgarskiej „Domu Książki” zbiegło się w

czasie z utworzeniem województwa zielonogórskiego. Czy już w 1950 r. zorganizowany został w Zielonej Górze Zarząd Wojewódzki „Domu Książki”?

W 1950 r. zaczęły powstawać w Zielonej Górze, obok wojewódzkich władz administracyjnych i partyjnych, ekspozytury i zarządy wojewódzkie różnych urzędów i przedsiębiorstw. Nagły awans normalnie dotąd rozwijającego się miasta powiatowego spowodował ogromne kłopoty i trudności. Potrzebne były lokale biurowe, magazyny i mieszkania, potrzebni byli fachowcy. Miasto zaczęło pękać w szwach. W tych samych lokalach urzędowano w dzień, sypiano w nocy, nierzadko na biurkach i zestawionych krzesłach. Zielona Góra stała się ziemią obiecaną dla chętnych na wysokie stanowiska. Miałem znajomego, nauczyciela, który w ciągu roku dziesięć razy zmieniał pracę, szukając najbardziej intratnej. Awansowali, zdobywali kierownicze stanowiska nie tylko fachowcy, ludzie rzutcy i zdolni, ale również nieroby, cwaniacy, obiboki i różne niebieskie ptaki. Niektóre instytucje i przedsiębiorstwa długo odczuwały skutki ich nieudolności i „radosnej twórczości”. Wróćmy jednak do spraw księgarstwa.

Utworzona w początkach 1950 r. Ekspozytura PP „Dom Książki” w Zielonej Górze podlegała Zarządowi Wojewódzkiemu w Poznaniu. Samodzielny Zarząd Wojewódzki powstał w Zielonej Górze w 1956 r., a jego dyrektorem został Jan Czajkowski, nauczyciel, od 1953 r. kierujący miejscową Ekspozyturą „Domu Książki”, który funkcję dyrektora Zarządu Wojewódzkiego sprawował do czasu przejścia na emeryturę w 1974 r.

Powiem bez cienia kurtuazji, że działalność Zarządu Wojewódzkiego „Domu Książki” kojarzyłem zawsze z Twoją osobą. Od listopada 1960 r., kiedy podjąłem pracę w Bibliotece Wojewódzkiej, wspólnie omawialiśmy zasady współdziałania księgarni z bibliotekami, przy czym zawsze wykazywałem pełne zrozumienie dla potrzeb bibliotekarzy, co wobec niewystarczających nakładów wartościowych książek miało duże znaczenie dla rozwoju czytelnictwa w województwie. Jak wspominasz pracę w przedsiębiorstwie?

W „Domu Książki” pracowałem 30 lat, od chwili powołania ekspozytury po rok 1980, to znaczy do czasu przejścia na

emeryturę. Moja akowska przeszłość nie ułatwiła mi zrobienia kariery w przedsiębiorstwie. Mimo posiadania odpowiednich kwalifikacji zawodowych i stażu pracy, latami nie powierzano mi kierowniczego stanowiska. Dopiero po „październikowej odwilży” (1 stycznia 1960) zostałem zastępcą dyrektora Zarządu Wojewódzkiego, a po przejściu Jana Czajkowskiego na emeryturę w 1974 r. – dyrektorem.

Co po niemal dwudziestu latach od przejścia na emeryturę w 1980 r. możesz powiedzieć o roli „Domu Książki” w udostępnianiu słowa drukowanego mieszkańcom Ziemi Lubuskiej? Postawię sprawę otwarcie, a nawet drastycznie: czy zorganizowanie państwowej ogólnopolskiej sieci księgarskiej w 1950 r. było wynaturzeniem charakterystycznym dla polityki kulturalnej okresu stalinowskiego, czy też utworzenie scentralizowanej sieci księgarskiej usprawniło dystrybucję książki?

Już po kilku tygodniach od powołania PP „Dom Książki” do ekspozytury zaczęły napływać sterty paczek z setkami tytułów w ogromnej liczbie egzemplarzy, często nie odpowiadających zapotrzebowaniu miejscowych bibliotek i czytelników. Do tego rodzaju wydawnictw należały np. książki rolnicze, dotyczące górnictwa, a zwłaszcza piśmiennictwo społeczno-polityczne. Lata 1950-1955 to przecież okres szczególnie silnej indoktrynacji marksistowskiej społeczeństwa, do której wykorzystano nowo powstałą sieć księgarską. Po tym smutnym okresie ujawniły się zalety systemu – możliwość w miarę równomiernej dystrybucji krajowych nowości wydawniczych w całej sieci księgarskiej, możliwość służenia wszechstronną informacją o zasobach Składnicy Księgarskiej oraz nowych wydawnictwach, które – niezależnie od tego, gdzie zostały wydane – można było zamówić w każdej księgarni terenowej. „Dom Książki” wydawał „Zapowiedzi Wydawnicze” oraz aktualizowane „Katalogi Składowe”. Oczywiście zawsze były kłopoty z bestsellerami i atrakcyjnymi publikacjami niskonakładowymi, na które zapotrzebowanie było większe niż podaż, na co wpływ zasadniczy miała niska cena książek. Sądzę, że zlikwidowanie w naszym województwie sieci księgarni „Domu Książki” nie sprzyja sprawnej dystrybucji nowości wydawniczych, tym bardziej, że obecnie nabywca pozbawiony jest pełnej informacji o bieżącej krajowej produkcji wydawniczej.

Należy żywić nadzieję, że w przyszłości ogólnopolskie kanały dystrybucji nowości wydawniczych i informacji o nich zostaną w jakiejś formie odbudowane z wykorzystaniem techniki elektronicznej, a więc sieci komputerowej. Przejdźmy jednak od Twoich doświadczeń i zainteresowań zawodowych, do Twoich zainteresowań twórczych, literackich. Wiem, że już jako dziecko zawarłeś przyjaźń z książką, której pozostałeś dotąd wierny, o czym świadczy Twoja wielotysięczna biblioteka. Nie tylko jednak dużo czytałeś, lecz również już jako nastolatek publikowałeś wiersze. Kiedy miał miejsce Twój poetycki debiut?

Od 1883 r. w Inowrocławiu wychodził „Dziennik Kujawski”, który w czasie zaborów spełniał funkcje krzewiciela i obrońcy polskości. W okresie międzywojennym był pod wpływem Stronnictwa Narodowego, chociaż nigdy nie wyrzekł się sztyldu „bezpartyjnego organu, zaciekle zwalczając obóz rządowy. „Dziennik Kujawski” wydawał cotygodniowy dodatek społeczno-kulturalny „Piast”. Swoją pierwszą wiersz opublikowałem na łamach „Piasta” we wrześniu 1936 r. Od red. „Dzien-

nika”, Mieczysława Dereżyńskiego, otrzymałem pocztówkę z gratulacjami i prośbą o dostarczenie następnych wierszy. Jako siedemnastoletni chłopak byłem ogromnie dumny z pochwał, ludziem się w przekonaniu, że czytelnicy podziwiają moje wiersze i niecierpliwie czekają na następne. Jeszcze w 1936 r. na łamach „Piasta” ukazało się siedem moich kolejnych wierszy, m.in. „Cmentarz obrońców Lwowa”, „Na pomnik Jana Kasprowicza w Inowrocławiu”, „Żebak”. Nie zdawałem sobie sprawy, że te moje pierwsze wiersze były podobne do setek innych, publikowanych w prasie codziennej.

„Dziennik Kujawski” był gazetą klerykalną, między innymi z tego powodu, że jego wydawca miał w radzie nadzorczej kilku księży, z biskupem Laubitzem na czele. Przekonałem się o tym przy okazji opublikowania w lutym 1937 r. wiersza „Modlitwa zimowa”, który panie i panowie z Sodalitacji Marińskiej – nie zrozumiałwszy przesłania utworu – uznali za bluźnierczy. Skutkiem tego bojkotu, przez co najmniej pół roku łamy „Piasta” były dla mnie zamknięte. Nie załamując się, tworzyłem jednak dalej i do wybuchu wojny opublikowałem w „Piast” 35 wierszy.

W sierpniu 1938 r. podjąłem pracę w „Dzienniku Kujawskim” jako tzw. elew redakcyjny. Zajmowałem się początkowo głównie korektą szpaltową, a po miesiącu dopuszczono mnie do przeprowadzania rewizji kolumn. Z czasem zaczęto powierzać mi obsługę mniej ważnych zebrań w mieście, a pod koniec 1938 r. objąłem zwolnione stanowisko kierownika działu miejskiego. Odtąd musiałem wypełniać całą kolumnę miejską sprawozdaniami z zebrań i uroczystości, rozpraw sądowych, imprez sportowych i innymi informacjami, które mogły zainteresować czytelników „Dziennika”. Mimo obciążeń dziennikarskich, pisałem sporo wierszy, podjąłem również próby prozatorskie. Debiutem prozatorskim było powstałe w 1939 r. słuchowisko radiowe, które przyjęła do emisji rozgłośnia Polskiego Radia w Poznaniu. Ponieważ w miesiącach letnich emitowano utwory lepsze, poinformowano mnie, że słuchowisko zostanie nadane we wrześniu lub październiku. Przesłałem kilka utworów do czasopism pozalokalnych. „Wici Wielkopolskie” Mariana Turwida opublikowały jeden mój wiersz w dekoracyjnej winiecie na stronie tytułowej pisma. Stanisław Czernik, redaktor „Okolicy poetów” z Ostrzeszowa poinformował mnie o uwzględnieniu w planach druku fragmentu przesłanego mu poematu o Chopinie. Stanisław Waszak, redaktor rozgłośni Polskiego Radia widział możliwość zatrudnienia mnie w 1940 r. w Poznaniu, gdzie mógłbym równocześnie podjąć studia uniwersyteckie. W pracy dziennikarskiej zacząłem nabierać coraz większego doświadczenia, a publikowane w „Piast” wiersze zyskiwały już uznanie, w związku z czym zaczęto dostrzegać we mnie – jak wieść niosła – przyszłego kandydata do nagrody kulturalnej miasta.

Twoją tak pięknie rozpoczętą karierę przerwał wybuch wojny...

...i bomby, jakie spadły 3 września na inowrocławską elektrownię, pozbawiając miasto prądu i możliwości druku gazety. Przedtem jednak, w maju podjąłem się redagowania „Piasta”, a w drugiej połowie sierpnia – po wcieleniu kolejnych redaktorów pisma do wojska – spadł na mnie obowiązek samodzielnego wydawania gazety. Wręcz katorżnicza praca w redakcji i drukarni zajmowała mi 18 godzin dziennie. Ostatni numer „Dziennika Kujawskiego” wraz z „Piastem” ukazał się w sobotę 2 września. Po zbombardowaniu elektrowni wydrukowa-

liśmy jeszcze na pedałowce 2-3 ulotki małego formatu i 8 września wyjechałem z Inowrocławia z zamiarem zaciągnięcia się do wojska.

Praca u bauera, a później praca i konspiracja w GG nie sprzyjały rozwijaniu Twoich zainteresowań literackich, twórczych. Czy w tych trudnych okolicznościach próbowałeś pisać?

W grudniu 1939 r. napisałem wiersz „Przyjaźń z książką” (nawiązujący do moich fascynacji literaturą w latach chłopięcych) kilka dalszych w 1944 r., jednak atmosfera konspiracji nie sprzyjała twórczości, podobnie trudne lata powojenne. Wiersze, które powstały w tym okresie tylko w niewielkim stopniu wzbogaciły mój rękopiśmienny dorobek. W latach pięćdziesiątych współpracowałem blisko z pismami księgarskimi „Głosem Księgarza” i „Pracą Księgarską”, w których opublikowałem kilkadziesiąt wierszy i utworów satyrycznych tematycznie związanych z książką i księgarstwem, m.in. wspomniany wiersz „Przyjaźń z książką”.

Wraz z ożywieniem się życia kulturalnego w Zielonej Górze w końcu lat pięćdziesiątych, kiedy stworzone zostały – zresztą skromne – warunki do publikowania tekstów, również literackich, zacząłem coraz więcej czasu poświęcać swym literackim zainteresowaniom, czasu ograniczonego podstawowymi obowiązkami zawodowymi.

Jako bibliograf wiem, że wspólnie z Z. Rutkowskim byliście autorami pierwszej polskiej książki wydanej w Zielonej Górze. Był to zbiór baśni „O krasnoludkach, Jagusi i siedmiu zaklętych rycerzach”, wydany przez Lubuskie Towarzystwo Kultury w 1957 r., życzliwie przyjęty przez krytykę. Te życzliwe opinie dotyczyły tekstu, gdyż ilustracje książki wołają o pomstę do nieba.

Wcześniej, bo w początkach lat pięćdziesiątych (1952-1954) napisałem kilka scenariuszy widowisk winobraniowych, przy czym ostatnie z 1954 r. wyróżnione zostało nagrodą pieniężną. Wydany w 1957 r. zbiór baśni, o którym wspominałeś, wymaga kilku uwag. Wkład Z. Rutkowskiego do wydanej książki ograniczył się do przekazania mi surowych wątków tematycznych kilku baśni, za co miałem zamiar podziękować mu we wstępie książki. Z nieznanych mi powodów wydawca uwzględnił Z. Rutkowskiego jako współautora książki. Zgadzałem się z opinią o niskim poziomie, a raczej o braku jakiegokolwiek poziomu artystycznego ilustracji do omawianych baśni. Wbrew mojej negatywnej opinii, redaktor techniczny książki, A. Bogaczyk, nakłonił wydawcę do ich przyjęcia. Warto dodać, że książka wydana została w nakładzie 40 tysięcy, a dzięki moim kontaktom z zarządami wojewódzkimi „Domu Książki” rozeszła się dość szybko w całym kraju.

W wydawanym przez LTK „Nadodrz” publikowałem opowiadania. Wiele spośród nich ukazało się następnie w wydawnictwach książkowych – almanachach prozatorskich: „Podróż do zielonych wzgórz”, „Relacje”, „Zielone krajobrazy”, „Wizerunki”. W 1971 r. zadebiutowałem powieścią „Ucieczka w jutro”, w której znalazły się, literacko przetworzone, wątki autobiograficzne.

Sądzę, że niemalą satysfakcję sprawiło Ci umieszczenie Twojej baśni „Goliszowe buty” w podręczniku do języka polskiego do klasy IV „Polska mowa” Marii Nagajowej. Baśń publikowana była we wszystkich wydaniach podręcznika z lat 1981-1998.

Poza zbiorkiem z 1957 r. opublikowałem również dalsze legendy i baśnie. Wspólnie z I. Koniusz wydałem zbiór baśni nadodrzańskich „W Babimoście na moście”, natomiast jako wyłączny autor opublikowałem zbiorek „Zielonogórskie klechdy”. Ponadto sporo moich baśni i legend ukazało się w wydawnictwach zbiorowych: „Złota dzida Bolesława”, „Legends znad Odry”, „Marianna oraz inne podania i legendy lubuskie”.

Może na zakończenie naszej długiej rozmowy przypomnę, że jesteś również autorem słuchowisk radiowych, emitowanych przez zielonogórską rozgłonię Polskiego Radia. Pamiętam, że pochlebnie recenzował je Michał Kaziów. Jaką tematykę podejmowałeś w tej dziedzinie twórczości?

Zielonogórską rozgłonię wyemitowała osiem moich słuchowisk. Występowały w nich wątki historyczne, akcentujące zwłaszcza polskie tradycje ziem nadodrzańskich, problematyka związana z zasiedlaniem Ziemi Odzyskanych, a także dotycząca zagadnień współczesnych.

Dziękując za rozmowę, w imieniu własnym oraz Redakcji „Pionierów” życzę Ci wielu dalszych lat twórczej przyjaźni z książką.

Kazimierz Malicki

Modlitwa zimowa

*Nie śpiewaj wyciem wilków – Matko Boża,
gestwiną zimnych kwiatów na szybach:
umarłą trzciną, zmarłym motylem – Matko Boża,
falującym mrozem, wiatru grzywą,
Nie zapalaj gromnicy na wielkim pustkowiu –
Matko Boża,
zbyt wątry płomyk nikłością przeraża:
nie idź samotnie zapomnianym słowem –
Matko Boża,
nie idź w przestrzeń, przestwór bez rozdroży.
Nie wyciągaj boskich, fosforycznych dłoni –
Matko Boża,
hipnotycznym ruchem do księżycy:
gwiazdy wielkim tumem pośród nocy dzwonią,
bądź bardziej Matką, więcej niż Dziewicą!
Nie głoszcz zającą miłościwą dłonią –
Matko Boża,
nie pieść ostrych kolców głogu lilijnym
uśmiechem,
nie ochraniaj ozimin śnieżystą osłoną –
Matko Boża,
nie nauczaj ptaszków – wszakże są bez
grzechu.
Nie módl się zagubioną, zmurszą kaplicą –
Matko Boża,
błogostawieństwem już dawno pomarłych świętych,
mięszem tataraku pokorną słodyczą – Matko Boża
ani ścieżyną na polu pośniętą.
Nie idź lasem, nie idź wodą czy też lądem –
Matko Boża,
nie pływ w przestworzach w radosnym beztrudzie
przyjdź do nas cicho miłującym słowem,
przyjdź do nas Matką wszystkich biednych ludzi*

„Piast” Nr 5 – 30 I 1937



Wspomnienia i relacje

Moja młodość na obczyźnie

W chwili wybuchu II wojny światowej we wrześniu 1939 roku mieszkałam z matką, siostrą Łucją i braćmi Frankiem i Pawłem w Dąbrowie Chełmińskiej, gdzie matka pozostała z nami po śmierci mojego ojca (utonął w 1929 r. i został pochowany w Bolominku koło Dąbrowy Chełmińskiej).

W Dąbrowie Chełmińskiej w czerwcu 1939 roku ukończyłam Szkołę Podstawową 7-klasową. Marzyłam o dalszej nauce. Lecz wrzesień od pierwszych dni przyniósł terror i prześladowania ze strony miejscowej ludności niemieckiej. Cała inteligencja polska z naszej wsi została rozstrzelana w okolicznych lasach zanim wkroczyła armia niemiecka.

Uciekać nie było gdzie. Lasy były przeczesywane przez esesmanów w czarnych i żółtych mundurach z opaskami na rękawach ze swastyką. Pamiętam te pierwsze dni okupacji do dzisiaj. Rozstrzelano m.in. kierownika szkoły, mego nauczyciela języka polskiego P. Kamińskiego, Jarockich – ojca i syna Bronisława, którego zwłoki znalazła kobieta pod chrustem w Unisławskim lesie. Po tym fakcie nie wolno było do lasu wchodzić.

Pamiętam też dobrze pierwszą niedzielę września, opuszczone domostwa, bydło chodzące luzem i odgłosy bombardowań i samolotów. Nie mieliśmy konia, a matka chora daleko by nie uszła, więc starsza ode mnie siostra zabrała mnie do domu, aby zobaczyć kto ze znajomych pozostał i z kim moglibyśmy się zabrać wozem, ale we wsi zobaczyliśmy czerwone flagi z czarnymi swastykami. W pewnej chwili, z jednego podwórza wyjechał na rowerze mężczyzna w żółtym mundurze z opaską na rękawie – poznałam że jest to nauczyciel, który uczył w naszej szkole matematyki (bardzo bił dzieci). Moje zaskoczenie i oburzenie było tak duże, że stanęłam w miejscu i gdyby nie siostra, która mnie za sobą pociągnęła, to nie wiem jak by się to spotkanie skończyło. Szybko wracaliśmy do matki, która pakowała nasze rzeczy, bo sąsiad P. Misiak chciał nas zabrać wozem w stronę Torunia. Nie zdążył wyjechać ze swego podwórza, gdy zobaczyliśmy wracające furmanki z uciekinierami na szosie toruńskiej. I bracia wrócili głodni do domu, ukrywali się w stogach. Za kilka dni dotarła do nas straszna wiadomość o krwawej niedzieli w Bydgoszczy. Strach porażał nas, prawie nie wychodziliśmy z domu, tylko bracia znowu zniknęli. Wreszcie przyszło wojsko niemieckie i jakby ucił terror ze strony miejscowych Niemców. Ale kogo nie rozstrzelano, zagnano do roboty. Brat mój Franek (inwalida po wypadku) musiał pracować w tartaku w Dąbrowie, brat Paweł i siostra Anna w majątku Cichoradz, a Łucja w fabryce marmolady w Unisławiu.

W kwietniu 1941 roku zostałam przymusowo wyznaczona na wywiezienie do Niemiec przez okupanta. Zostałam zabrana od chorej matki z naszego domu. Spędzono nas Polaków w różnym wieku do stodoły blisko stacji kolejowej w Dąbrowie Chełmińskiej, a następnie załadowano do wagonów towarowych, zamknięto i wywieziono z mojej wioski, gdzie została moja

matka. Pamiętam, że zabrano mnie od niej w piątek, jechaliśmy w zamkniętych wagonach dwa dni i noc. Z soboty na Niedzielę Palmową, nocą, dotarliśmy prawie do celu tej przymusowej podróży. Z wagonów wpędzono nas do wielkiej sali, gdzie Niemcy płacili 15 marek za dziewczynę, a za chłopaka 20 marek. Było nas bardzo dużo, ale ja, prawie jeszcze dziecko, bez matki, wśród tego tłumu czułam się zagubiona i osamotniona. I ten lęk, na ogromnej sali, wśród obcych pamiętam do dziś. W pewnej chwili zauważyłam, że jest nas coraz mniej, a do mnie zbliża się otępy Niemka o złej twarzy. Strach przed nią popchnął mnie w stronę dwóch chłopców w moim wieku. Nie znałam ich nazwisk, ale byli mi bliscy, bo spędziłam z nimi pierwsze godziny rozstania z matką, siostrą i bratem. Widziałam tych chłopców stojących przed Niemcem, który z nimi rozmawiał. Domyślałam się, że za chwilę zabierze ich z sali, a ja zostanę sama z tą kobietą idącą w moją stronę. W jednej chwili znalazłam się przed tą trójką i zaczęłam prosić po polsku, aby mnie również zabrał. Człowiek ten to rządca, robotnik niemiecki, uśmiechnął się i powiedział: „kind du bist zu klein”. Ale jednak zabrał nas z sali razem. Na dworze była noc i padał ulewny deszcz. Wiózł nas wozem dosyć długo. Pamiętam, że zasypiałam mimo deszczu i zimna. W pewnej chwili ten dobry człowiek okrył mnie czymś. Gestu tego też nie zapomnę, bo przypomniał mi matkę. Wreszcie zajechaliśmy na ogromne podwórze przed duży dom, nasz woźnica wprowadził nas do kuchni, gdzie czekał na nas „Her Klassen” – bauer. Na stole kuchennym stały kubki z czarną zbożową kawą i kromki chleba, ale my chcieliśmy spać. Chłopców zabrał ten dobry człowiek, a mnie Her Klassen zaprowadził na strych, gdzie za dużą magłą (?) stała pryczka dla mnie. Rano obudziła mnie mowa niemiecka. To Niemki – dziedziczka ze służącą Frydą przyszły mnie zobaczyć i zbudzić. Nie rozumiałam co mówią do mnie, ale domyślałam się, że każą wstać i zejść do kuchni. No i zaczęła się moja praca i lzy tęsknoty. Kazano mi myć naczynia, obierać kartofle, dokładać opału do pieca. Dopiero w porze obiadowej, kiedy Niemki wyszły do kuchni mogłam się rozejrzeć i zorientować, że jestem w dużym domu wśród Niemców, ale nie sama do roboty. Przyszli jacyś ludzie po posiłek rozdzielony na różnej wielkości miskach blaszanych. Odbywało się to w milczeniu, w obecności Niemki – dziedziczki. Po wydaniu obiadu przez Frydę, zostałam sama w kuchni, cała we łzach i rozpacz. Była niedziela. Po przerwie obiadowej znowu myłam naczynia w wodzie zmieszanej z moimi łzami, których nie mogłam powstrzymać. Pamiętam, że chciałam konieczne napisać do matki. Zaczęłam pytać frolein (tak nazywano tę Niemkę), która wycierała naczynia porcelanowe, przyniesione zza szklanych drzwi z jadalni dziedzica. Stale mówiłam po polsku, nie zdając sobie sprawy do kogo mówię. Nagle zorientowałam się, że płaczę i pytam Niemkę, gdzie jest poczta i że chcę wysłać list do matki. Ona na mnie uparcie w milczeniu patrzyła – a ja powtarzałam moje pytania. Ta dumna Niemka wyszła z kuchni, a gdy wróciła znowu zaczęłam pytać. Wyczułam, że ona mnie rozumie, a nie chce powiedzieć. Pozostał mi tylko płacz. Na szczęście po niedzieli był dzień roboczy i nowy przydział roboty w kuchni. Wstawanie o godzinie 6.00 (budziła mnie Fryda), rozpalać w piecu kuchennym, zagotowanie kawy zbożowej, podawanie naczyń z wydzielonym chlebem i kawą dla tych, którzy przyszli z zewnątrz. Robiłam jak automat, to co mi kazano, co rozumiałam, lub co mi Fryda pokazała. Wiedziałam, że za nieposłuszeństwo grozi bicie lub głód.

Dni robocze dały mi możliwość wyjścia z kuchni na podwórze po drzewo opałowe z koszem większym ode mnie. Wówczas mogłam się rozejrzeć i zobaczyć, że jestem w wielkim gospodarstwie. Było duże podwórze, z jednej strony duża murowana obora na bydło, z drugiej stajnia z końmi, a za nią chlew dla świń, kurnik, a w głębi podwórza duża stodoła. Po środku podwórza buda z psem wilczurem i studnia, do której przychodziła po wodę dziewczyna z wiadrami na noszach.

Tydzień minął zanim dowiedziałam się, że ta dziewczyna jest również Polką i że pracuje tak samo jak ja u bauera, tylko w mniejszym gospodarstwie i w gorszych warunkach (doila krowy, wyrzucała obornik i pracowała w polu).

Przez środek wioski biegła droga. Po jednej stronie były zabudowania dużych gospodarzy, po drugiej mniejszych i szeregi domków parterowych, gdzie mieszkali niemieccy robotnicy. Na końcu wsi była szkoła, a na niej skrzynka pocztowa. Dom Her Klassen wyznaczał się, był piętrowy z oszkloną werandą od ulicy.

W pierwszym tygodniu wśród Niemców na obczyźnie rozpacz moja tłumiona była dzieciinną ciekawością i koniecznością poznania języka moich wrogów. Nie słyszałam i nie mogłam zamienić zdania z nikim po polsku. Niemki słuchały, ale żadna nie zdradziła się, że mnie rozumie. Aż pewnego dnia usłyszałam w korytarzu obok kuchni znajomy głos chłopca skarżącego się na ból głowy, proszącego o poduszkę (spął w baraku na pryczy bez poduszki z jednym kocem). Niemiec-bauer rozkrzyczał się na niego, wyzywał go od polskich świń i wygnał do pracy. Pracowali w polu, a mieszkali w baraku drewnianym z Rosjanami, Ukraińcami ze starszym Polakiem Bronkiem Erdmańskim, jedynym wówczas Polakiem, który przychodził do kuchni po posiłki. To Bronek, o wiele lat starszy ode mnie, poinformował mnie o tej dziewczynie, która przychodziła na swoje podwórze po wodę. To On mi powiedział, że nie jestem sama i powinienam przestać płakać. To on mnie po świętach wielkanocnych poinformował o ucieczce moich znajomych chłopców ze wspólnego transportu.

W tygodniu, po Wielkanocy kazano mi pójść do biura policjanta, gdzie spotkałam wielu Polaków. Zrobiono nam tam pojedyncze zdjęcia i dano nam litery P, a także numery. Ja dostałam 111. Policjant nauczył nas i ostrzegł, że nie wolno nam mówić po polsku, że nie wolno nam się oddalać z gospodarstwa, a po godzinach pracy poza obręb wioski. A litery P musimy mieć przyszyte do odzieży. A kto nie będzie przestrzegał tego obowiązku, zostanie ukarany. Więc nosiliśmy kwadraciki – na żółtym tle literę P (przechowuję jedną do dzisiaj na pamiątkę tamtych dni i lat).

W maju 1941 roku do wioski Klein Zünder, gdzie byłam na robotach przymusowych nadszedł transport z nową siłą roboczą. Her Klassen nabył czterech Polaków. Tym razem ku mojej radości 31-letnią Janinę Żurek i Jej trzech braci: Józefa, Antoniego i Witolda. Dostali izbę w budynku, gdzie mieszkali robotnicy niemieccy. Janka przychodziła do kuchni pracować, a Jej bracia: Witold, były student, do pracy w stajni z końmi, a Antoni i Józef do pracy w polu.

Szereg robotników przymusowych u naszego bauera znacznie się powiększył, gdy jesienią zostali przywiezieni Ukraińcy i cztery Rosjanki. Wera z Iwanem, Lena z Pawłem, Tatiana-Ukraińska. Czwartej nie pamiętam z imienia, była w moim wieku. A Lena była o rok młodsza ode mnie i pochodziła z Charkowa. Lena najwięcej ze mną przebywała w kuchni, zwłaszcza, gdy zachorowała (miała całe nogi owróżdzone). Paweł przy-

nosił ją wówczas na rękach do kuchni, gdzie musiała mimo choroby reperować worki. Pamiętam też, że każdego dnia o godz. 7.00 była zbiórka wszystkich robotników na podwórzu, a gdy któryś nie stawiał się w szeregu, nie dostał obiadu. A gdy następnego dnia również nie przyszedł z powodu choroby, zamiast posiłku dostawał garnuszek 1/2 l herbaty ziołowej i nic więcej.

W każdą sobotę wieczorem po kolacji Rosjanki odnosząc naczynia do kuchni, przychodziły we czwórce po ciepłą wodę. Przygotowywałam im zawsze kocioł pełen gorącej wody do prania i mycia. Zabierały do swego baraku. Zawsze wesole i uśmiechnięte do mnie. Zawsze miały mi coś do powiedzenia i pocieszały mnie. Były to nasze spotkania przy kotle z wodą, gdy Niemki nie było w kuchni. Już wtedy nie czułam się osamotniona, mimo że spałam nadal na strychu w domu bauera. Wiedziałam, że są blisko na wsi Polki, Rosjanki, Francuzi, Włosi, później Anglicy-niewolnicy wojskowi.

A Janka Żurek była dla mnie jak siostra i matka zarazem, z każdą troską i smutkiem mogłam pójść do niej. Ona mnie nauczyła jak radzić sobie z odzieżą, z której wyrosłam. Nauczyła mnie szyć w rękach, robić na drutach (szprychy od roweru, a osnowa z worków była dla nas włóczką). Rosjanki też sobie radziły. Chłopcy im znosili opały, aby nie marzły w drewnianych barakach. W mieszkaniu Janki i Jej braci zbieraliśmy się prawie wszyscy Polacy, aby porozmawiać, zaśpiewać, a nawet zatańczyć przy muzyce na grzebieniu. Oczywiście był to rok, kiedy Niemcy przegrywali na frontach, a jednak trzeba było uważać i zawsze ktoś stał na straży przy drzwiach. Nie zawsze było wesoło. Zimą, na przełomie 1941 i 1942 roku był tak silny mróz, że woda w mojej misce do mycia zamarzała na strychu, gdzie nie było żadnego pieca. A gdy zwróciłam się do bauerki, że nie mogę tam spać, kazała mi oblażyć, a gdy dalej mówiłam, że nie chcę zachorować, to obraziła się na mnie, poszła na skargę do swego męża. Zostałam wezwana do gabinetu, gdzie her Klassen czekał na mnie z pejcem w ręku i z krzykiem oznajmił, że każe zaraz zawieźć mnie do obozu koncentracyjnego, a ja mu na to, że tam też ludzie żyją. Nie zdawałam sobie sprawy, że on mnie straszy serio, i że obóz taki istnieje, i to bardzo blisko od Klein Zünder (24 km). O niczym takim nie wiedziałam, byłam nadal naiwnym dzieckiem. Dopiero, gdy opowiedziałam o tym Jance Żurek, wystraszona pouczyła mnie, że lepiej milczeć, bo taki obóz naprawdę istnieje (wiedziała o tym od robotników niemieckich).

Wkrótce przekonaliśmy się o prawdzie. Najmłodszy brat Janki – Witold (były student) został zabrany do obozu koncentracyjnego Sztuthoff, z którego już nie wrócił. Janka dostała zawiadomienie, że zmarł na tyfus. Rozpacz była wielka i smutek dla nas wszystkich Polaków, ale było to też ostrzeżenie.

Zimą z 1942 na 1943 rok dostałam wiadomość od matki, że brat mój Franek zmarł. Prosiłam bauera, aby mnie puścił do domu z nocnej zmiany z tartaku, gdzie pracował jako robotnik również nocami, mimo słabego zdrowia – zmarł na zawał serca, w drodze do domu.

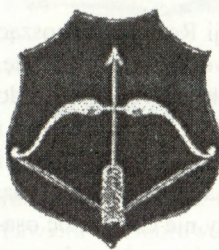
W lipcu 1943 roku zniknął z naszych szeregów Bronek Erdmański. Po pewnym czasie dowiedziałam się, że uciekł do lasu – miał możliwość dotarcia do partyzantki. Nie mógł znieść dłużej niewolniczej pracy i ziemniaków w łupinach.

cdn.

Helena-Maria Wierzbicka

PIŃSK – STOLICA POLESIA MA 1000 LAT!

część VI (lata trzydzieste XX wieku)



Herb miasta Pińska.

Na początku lat 30-tych naszego wieku rząd Polski, tak jak i inne rządy na świecie, został porażony rozmiarami Wielkiego Kryzysu Gospodarczego i długo był wobec niego bezradny. Powolne wychodzenie z kryzysu rozpoczęło się od 1933 r. Polesie ze względu na nagły i znaczny, nawet o 50%, spadek cen na artykuły żywnościowe i szybko rosnące bezrobocie, bardzo odczuło ten kryzys.

W Pińsku wiele stanowisk pracy musiano zlikwidować, na niektórych pracowano po 2-3 dni w tygodniu, wprowadzono oszczędności we wszystkich dziedzinach. Moja mama również miała kłopoty, gdyż szukano oszczędności w oświacie. Zażądano, aby wykształcenie rosyjskie uzupełniła o polskie Seminarium Nauczycielskie. Mając pod opieką dwoje małych dzieci oraz starszą matkę-wdowę z 12 ha ziemi, nie mogła podjąć dokształcania się w mieście. Mamę zwolniono, pozwalając jedynie na okresowe zastępstwa. Całą ziemię babci oddawano na tzw. „tretiak”, tzn. uprawiający ziemię otrzymywał dwie trzecie płodów, a właściciel płaćący podatki jedną trzecią.

W 1934 r. w wieku 6 lat rozpoczęłam naukę we wsi Duboj, gdzie mój ojciec był kierownikiem szkoły, ale jak już wspominałam, od 1936 r. uczęszczałam do szkoły nr 3 w Pińsku i zamieszkałam u mamy siostry, koło mostu.

Pomimo trudności, rozpoczęte w Pińsku budowy w czasach prosperity końca lat 20-tych, kontynuowano. Na mojej drodze do szkoły nr 3 powstały nowoczesne gmachy, Banku Polskiego, poczty przy ul. Ogińskiego. Codziennie w drodze powrotnej musiałyśmy zaliczyć kilka okrążeń wejściowymi, lśniącymi, obrotowymi drzwiami na poczcie, dopóki ktoś z dorosłych nas nie przegonił. Co to była za frajda! Podobnie z tego okresu pamiętam smak przypiekanej chałwy.

W 1936 r. do Pińska przyjechał z rodziną mamy kuzyn Mikołaj Bogatko, kierownik szkoły z Grykwowicz. Zanim zamieszkali w swoim domu przy ul. Poleskiej mieszkali niedaleko nas na ul. Nabrzeżnej. Z jego córką Renią (mój rocznik) zaprzyjaźniłyśmy się (trwa to do dziś, pomimo że mieszka w Łodzi) i właśnie jej starsi bracia Bazy i Michał w palenisku pokojowego pieca przypiekali nam kawałki chałwy na patyku jak kielbaski.

Szkoła nr 3 mieściła się na rogu ul. Albrechtowskiej i ul. Szkolnej. Była to stara szkoła, pod koniec lat trzydziestych przeniesiono ją na ul. Leszczyńską do nowoczesnego gmachu z centralnym ogrzewaniem i salą gimnastyczną.

Grono pedagogiczne (fot. 1). Pierwszy od prawej Józef Kapuściński, oficer rezerwy WP, zmobilizowany w 1939 r., wrócił do Pińska, ukrywał się. Po wojnie uczył w Warszawie. Czwarci od prawej Maria Kapuścińska. Państwo M. i J. Kapuścińscy to rodzice urodzonego w 1932 r. w Pińsku Ryszarda Kapuścińskiego, znanego publicysty i pisarza. Szósty z prawej Teodor Żuk, prawosławny katecheta, arcydiakon, dysponował pięknym głosem – basem. Do dziś wspominamy jego godną postawę w czasie okupacji. Po wojnie był proboszczem cerkwi pw. św. Mikołaja w Poznaniu. Zmarł w 1957 r., został pochowany na Woli w Warszawie. Siódmy z prawej to Józef Lubowski, matematyk, nauczyciel, potem kierownik Szkoły Podstawowej Nr 3. Aresztowany w 1941 r., wywieziony na wschód. Po wojnie wrócił do Polski, był nauczycielem w Powidzu i Czerniejewie koło Gniezna, zmarł w 1975 r. Do dziś mieszkają w Zielonej



Fot. 1. Siódma klasa Szkoły Podstawowej nr 3.

Górze jego uczniowie z Pińska i młodszy z Czerniejewa. U dołu, na dywaniku po lewej stronie 7-letni syn T. Żuka, obecnie mieszka w Poznaniu, dr nauk medycznych Aleksander Żuk, któremu zawdzięczam to zdjęcie.

W drugiej połowie lat trzydziestych w Pińsku działało 5 państwowych szkół powszechnych, którymi kierowali:

- Nr 1 – ul. Moniuszki 16 – Józef Niedźwiedzi,
- Nr 2 – ul. Brzeska 35 – Józef Popiółkiewicz,
- Nr 3 – ul. Leszczyńska – Józef Lubowski,
- Nr 4 – pl. Poniatowskiego 6 – Józef Piwowar,
- Nr 5 – ul. T. Kościuszki 8 – Karol Ilewicz.

Wszystkie szkoły były narodowościowo i wyznaniowo mieszane, z wyjątkiem szkoły nr 4, gdzie uczyły się tylko dzieci żydowskie. Ponadto były dwie szkoły prywatne – im. Dz. Jezus na ul. Zielonej 15 i Czeczuk (dla dzieci żydowskich) na ul. M. Butrymowicza.

11 marca 1932 r. ustawą sejmową wprowadzono w Polsce jednolity, klarowny system szkolny. Opracowano dobre programy nauczania i przemyślany patriotyczny sposób wychowania, co przyniosło korzystne wyniki. Szkoły powszechne były siedmioklasowe, w szkołach średnich wprowadzono 4 klasy gimnazjum i 2 liceum. Średnie szkoły zawodowe zrównano z ogólnokształcącymi.

W drugiej połowie lat trzydziestych w Pińsku było:

- 6 szkół rzemieślniczych, przeważnie 3-letnich,
- 2 gimnazja dla dzieci żydowskich, Czeczuk-Glinkerowej i „Tarbut” (maturę zdawali w szkole państwowej),

– Państwowe Gimnazjum Handlowe nr 104 H i Kupieckie nr 108 K przy ul. Kolejowej 13,

– Państwowe Gimnazjum i Liceum im. Marsz. J. Piłsudskiego nr 295 – ogólnokształcące, męskie przy ul. T. Kościuszki 45, a żeńskie ul. T. Kościuszki 43.

Pińsk (fot. 2), skrzyżowanie ul. M. Butrymowicza i M. Ogińskiego (wysadzana drzewami). Po lewej dziedziniec gimnazjum męskiego, po



Fot. 2.

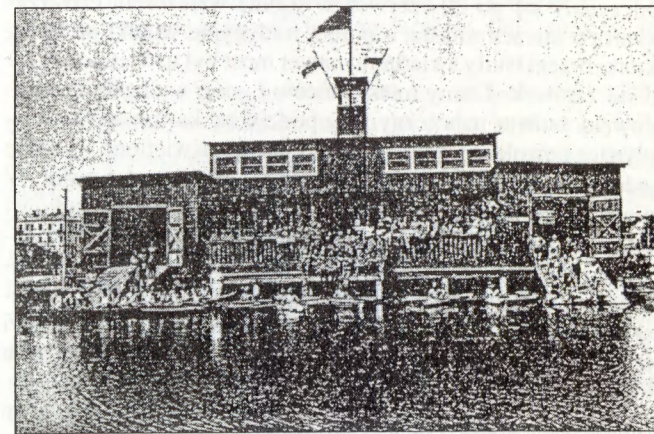
prawej gmach gimnazjum żeńskiego. Naprzeciw (dom z wieżyczką) słynna restauracja i cukiernia T. Gregorowicza przy ul. T. Kościuszki 36 (pracował tam mąż naszej pionierki – Zofii Pasiuk). Osoba – Teodozja Frołowiczówna, obecnie T. Żurawska, zam. w Szczecinie.

Liceum było koedukacyjne i mieściło się w gmachu gimnazjum męskiego, wszystko pod wspólną dyrekcją, z tym że w żeńskim była też przełożona (Anna Sułowska).

Dyrektorem liczącego już około 600 uczniów gimnazjum i liceum był nadal Felicjan Sliwiński. Był nim przez 16 lat (1921-1937), gdy w wieku 70 lat przeszedł na emeryturę.

Gimnazjum miało swoją orkiestrę, kółko teatralne i chór. Geograf Józef Obuchowicz prowadził prężne koło krajoznawcze, którego członkowie byli przewodnikami turystycznymi po mieście, zbierali materiały o Polesiu i wydali je w 8 książeczkach, które do dziś są skarbnicą wiedzy o Polesiu.

Wielką uwagę zwracano na sport, przeprowadzano turnieje z gimnazjami im. R. Traugutta w Brześciu, im. M. Rodziewiczówny w Kobryniu i im. Króla W. Jagiełły w Łunińcu. Były drużyny siatkówki, koszykówki i inne, ale jak przystało na stolicę Polesia, najważniejsze były sporty wodne. Idąc od gimnazjum męskiego ulicą Zwirki i Wigury w dół ku Pinie, na przeciwnym brzegu-półwyspie utworzonym przez odnogę Prypeci i Pinę, była piaszczysta plaża i budynek z napisem „przystań szkolna”.



Fot. 3. Przystań szkolna.

Przystań szkolna (fot. 3) była schroniskiem wycieczkowym dla młodzieży z całej Polski. U góry były dwie sale noclegowe, a na dole schron na łódzie, gdyż przystań była jednocześnie ośrodkiem sportów wodnych wyposażonym w kajaki, łódzie i żaglówkę.



Fot. 4. Pińsk – pływalnia szkolna.

Największym powodzeniem cieszyła się pływalnia (fot. 4) położona obok przystani. Ogródzona, z ciekawym urządzeniem – podnoszoną drewnianą podłogą, co umożliwiało naukę pływania początkującym. Zimą przystań stanowiła bazę sportów wodnych. Były tam ślizgawka, schron na narty, ogrzewane szatnie, a nawet grała orkiestra.



Fot. 5. 1939 r., ostatni maturzyści Gimnazjum i Liceum im. Marszałka J. Piłsudskiego w Pińsku.

Grono pedagogiczne (fot. 5). Siedzą z prawej: Ryszard Stussek – polonista; Paweł Znainiński – matematyk „Sum nr 1”; Józef Witczak – śpiew i prowadzenie chóru; Jan Kraushar – historyk, miłośnik Polesia, opracował historię Polesia i Pińska, Żyd-katolik, zginął w 1942 r.; ksiądz NN; ks. kanonik Fabian Szerbicki – komendant Okręgu Harcerskiego w Brześciu, katecheta gimnazjum w Brześciu, a potem w Pińsku, jesienią 1939 r. aresztowany, zmarł w 1940 r. w wagonie transportu na wschód; Stanisław Mercik – propedeutka filozofii, dyrektor gimnazjum i liceum w latach 1937-1939, aresztowany jesienią 1939 r., wywieziony na wschód; Hanna Grecko-Rabcewiczowa – język francuski. U góry stoi czwarty od prawej Ignacy Rabcewicz – łacina, mąż Hanny, wychowanek gimnazjum w Pińsku, oficer rezerwy WP, zmobilizowany w 1939 r.

Wśród młodzieży są: córka dyrektora – Wanda Mercikówna, córka profesora – Lala Witczakówna (siedzi przed ojcem), syn zawiadowcy stacji PKP – leży przed dziewczętami, z podpartą głową siedzi Teodozja Frołowiczówna, której zawdzięczam to zdjęcie.

Trudno teraz ustalić wszystkie losy osób ze zdjęcia, wiadomo że wielu z nich były tragiczne, poczynając od jesieni 1939 r., a szczególnie w 1942 r. Około 30% maturzystów było narodowości żydowskiej i większość z nich trzy lata po maturze w 1942 r. została przez Niemców bestialsko zamordowana, razem ze wspaniałym profesorem Janem Krausharem.

W 1932 r. oddano do użytku pierwszy żelazny most przez Pinę, jedyny most, który łączył miasto z południem Polesia tzw. Zarzeczem. Wznosił się wysoko nad lustrem wody, na betonowych filarach, a pod wzniesieniem od strony miasta były nawet mieszkania.

Pińsk 1932 r. (fot. 6), plac 3 Maja, nowy most przez Pinę. Na prawo jest dziedziniec kolegium oo. jezuitów (w okalającym murze były sklepy), na lewo główna ulica miasta T. Kościuszki.



Fot. 6. Pińsk, wjazd na most przez Pinę od strony miasta.

Na zdjęciu są dwa bardzo ważne dla mnie obiekty. Za mostem na prawo był tartak Lewina, a na horyzoncie widać oddaloną o 5 km wieś Stetyczewo, która po 1939 r. była naszym schronieniem. Natomiast na lewo od mostu (w głębi przedostatni dom) stoi kamienica wujostwa A. A. Gruszewskich. Widoczne na I piętrze okno i balkon to narożny pokój, w którym mieszkaliśmy ze starszą kuzynką Marysią. Powyższe zdjęcie, to teren moich dziecięcych wędrówek z lat trzydziestych i wczesnej młodości z lat czterdziestych. „Kocie łby” usunięto, plac i sąsiednie ulice obniżono, wykładając je pięknie tzw. trylinką, tj. sześciokątną pińską kostką z kawałków granitu, spojeną specjalnym lepiszczem, wynalezionym i opatentowanym przez pińskiego inżyniera Trylińskiego, na którego cześć wystawiono w parku pomnik z „trylinki”. Do 1939 r. kilka ulic było już wyłożonych tą kostką, a także trakt na Brześć. Obecnie Białorusini twierdzą, że tam gdzie współcześni „mądrze” nie zalali jej asfaltem, do dziś kostka trzyma się wspaniale, pomimo upływu 60 lat i wielotonowych obciążeń.

Kamienica wujostwa miała centralne ogrzewanie, w piwnicy stał piec niczym lokomotywa, a kuzyni-gimnazjaliści Mikolaj i Jurek musieli do niej wrzucać kłody drzewa i szuflować węgiel, złoścąc się okropnie. Uruchamiali też elektryczną pompę, obudowaną w ogrodzie, gdy kucharki wołały, że spada ciśnienie wody. Cały parter kamienicy zajmowało kasyno podoficerskie Flotylli Rzeczej, które było bardziej stołówką, chociaż miało salę bilardową i tzw. gabinety, pokoiki do ogrodu. Kasyno oficerskie znajdowało się w pobliżu portu wojennego.

23 marca 1932 r. w Wielką Sobotę zmarł ks. bp Zygmunt Łoziński, opłakiwany nie tylko przez katolików, obecnie jest kandydatem do grona świętych a pochowany został w podziemiach katedry. Wikariuszem kapitulnym został ks. prałat Witold Iwicki. Konsekrowany w 1932 r. w Wilnie ks. bp Kazimierz Bukraba w sierpniu 1932 r. zostaje ordynariuszem diecezji pińskiej. Kurię i dom biskupi przeniesiono z seminarium do pałacu Butrymowiczów przy ul. T. Kościuszki 46, zakupionego od Konstancji Skirmunt, która zostawiła sobie jedno skrzydło na dożywocie. Ks. biskup jako środka lokomocji często używał odkrytego samochodu lub motorówki.

W sierpniu 1933 r. w pińskiej katedrze odbyła się konsekracja dotychczasowego proboszcza parafii św. Augustyna w Warszawie ks. bp. Karola Niemiry, który został sufraganiem diecezji pińskiej i rektorem Wyższego Seminarium Duchownego w Pińsku.

Przy katedrze, na osobno stojącej dzwonnicy z 1817 r. dobudowano jedno piętro i hełm, a przed katedrą w 1933 r. ustawiono na postumencie kamienną statuetę Jezusa Chrystusa.



Fot. 7.

Początek lat dwudziestych (fot. 7), dzwonnica bez hełmu. Niedawno otrzymałam to ciekawe zdjęcie od Franciszka Bułczyńskiego z Drawskiego Pomorskiego, którego ojciec był długoletnim kościelnym w katedrze pińskiej.

Pomimo że chrześcijanie w Pińsku stanowili mniejszość, święta religijne obchodzono bardzo uroczysto. U prawosławnych szła zimą procesja z Soboru nad rzekę Pinę, gdzie był ustawiony ołtarz z brył lodu i święcono wodę. Było to święto Jordanu (Trzech Króli). U katolików w św. Bożego Ciała szła procesja z kościoła garnizonowego do katedry. W uroczystościach brali udział parafianie, najczęściej z obu wyznań, młodzież szkolna, latem marynarze i wojsko. Równie uroczysto obchodzono święta państwowe i wojskowe. 26 września 1939 r. wręczano ufundowany przez społeczeństwo Polesia nowy sztandar z wizerunkiem M.B. Kodeńskiej – patronki Polesia, 84. Pułku Strzelców Poleskich – tak wcześniej został mianowany 84 pp. Mundury strzeleckie były ozdobione stylizowaną trzciną – motywem Polesia. Uchwałą Rady Miejskiej jedną z ulic nazwano ul. 84 Pułku Strzelców Poleskich, a po śmierci marszałka ul. Łohiszynską przemianowano na ul. Marsz. J. Piłsudskiego. Utrzymywano też tradycję witania kwiatami żołnierzy powracających z letnich manewrów.

Flotylla Pińska, którą 17 października 1931 r. przemianowano na Flotyllę Rzeczną Marynarki Wojennej swoje święto obchodziła 3 lipca, 11 km od Pińska na jeziorze w Horodyszczu, tam gdzie 3 lipca 1919 r. odniosła swoje pierwsze zwycięstwo, wspomagając zdobycie Łunińca.

Jednak żadne miasto w Polsce, poza Gdynią, nie obchodziło tak uroczysto „Święta Morza” jak Pińsk. Uroczystości rozpoczynały się po 20 czerwca w sobotę wieczorem capstrzykiem po ulicach miasta, a potem tradycyjne wianki na Pinie, której brzegi lśniły światłami, nawet most był oświetlony rzędami żarówek. Tłumy mieszkańców i gości wylegały na obudowany bulwar nabrzeżny, aby podziwiać karnawał wodny – płynące powoli w pełnej gali banderowej, oświetlone wszelkie jednostki pływające. Grały orkiestry, nagradzano brawami. W niedzielę msza polowa na placu nad rzeką, święcenie statków i łodzi, podniesienie bandery przy dźwiękach Hymnu Narodowego i salwie armatniej. Wieńce na symbolicznej płycie Nieznanego Żołnierza u zbiegu ul. T. Kościuszki i ul. Bernardyńskiej, a potem defilada na Pinie flotylli wojennej, handlowej i sportowej. Po południu zawody sportowe i zabawy w parku miejskim nad Piną.

Obok parku wybudowano dwa pawilony na placu, na którym od 1936 r. organizowano corocznie Jarmark Poleski, połączone z Poleską Wystawą Gospodarczą. Była to rewia strojów, typów i pieśni ludowych Polesia. Wystawiono wszystko, co produkuje Polesie, wyroby przemysłu, rzemiosła, tkactwa ludowego, ceramikę, odmiennej gospodarki łąkowej i hodowlanej, zwierzęta hodowlane, zwierzęta dzikie, ryby i dzikie ptactwo.

Pińsk pod koniec lat trzydziestych to wprawdzie powiatowe miasto gdzieś na kresach Polski „C”. Jednak od 1935 r. następował w Polsce powolny wzrost gospodarczy, a Pińsk był ponad 32 tysięcznym, dobrze zorganizowanym i rozwijającym się miastem. Poza rozwiniętym przemysłem, szczególnie drzewnym, było tu 6 banków, 13 hoteli, 5 pensjonatów, 8 restauracji, 3 szpitale, 6 aptek. Ponadto Muzeum Polesia, prasa polska – „Słowo Polesia” i „Ziemia Wschodnia” oraz żydowska „Pinsker Wort”, „Pinsker Sztyme” i „Pinsker Lebn”, 2 kina – „Cassino” przy ul. M. Butrymowicza 14 i kino przy ul. Kolejowej oraz tzw. Teatr braci Holcmanów, gdzie grały amatorskie zespoły teatralne oraz przyjezdne operetki z Warszawy czy teatr „Reduta” z Wilna. Od 1936 r. był stały teatr Flotylli Rzeczej.

Do różnych miejscowości Polesia, w regularnych rejsach, pływało z Pińska około 10 parostatków pasażerskich, które miały dwie przystanie, przy moście i na końcu bulwaru, Kijowską. Ojciec mój Bronisław Wolski, po krótkiej pracy w woj. białostockim, od 1 lipca 1939 r. został kierownikiem szkoły we wsi Domaszyce, 9 km na zachód od Pińska. Zamieszkaliśmy u cioci w dwóch pokojach na poddaszu, a rodzice starali się kupić jakiś

dom w Pińsku. Psychoza wojenna spowodowała, że z trudem kupili drewniany dom z ogrodem przy ul. Krajowskiego, cały zajęty przez lokatorów, więc dalej mieszkaliśmy u wujostwa.

Mnie z 6-letnim bratem Ryszardem odesłano na wakacje do brata mamy Michała Kaczmanowskiego, do wsi Żółtki, 30 km na południe od Pińska. Lubiłam tam jeździć, wujostwo mieli trzech synów Zenka, Leszka i Janka, ja byłam za córkę, fawo-

ryzowana jako jedynaczka i gość wujek Michał lubił śpiewać, a ciocia Zosia, nauczycielka, była wesółą i wspaniałą jako gospodyni. Wakacje 1939 r.! Skończyłam 5 klasę i 11 lat, byłam beztroska, zupełnie nieświadoma zawieruchy wojennej, która nadciągała.

cdn.

Jadwiga Kolibabka

„Kiedy myślę ojciec”

SUKCES HEJNALISTY

Kiedy po raz pierwszy z córką Anką odwiedziłyśmy gościnne progi w Baszcie Mariackiej w Gdańsku oniemialiśmy z zachwytu. Widok na uliczkę Mariacką z jednej strony, z drugiej tętniące życiem nabrzeże Motławy oglądaliśmy z zapartym tchem w dzień i w nocy. Klimat tego miasta, zabytki, atmosfera przytulnego i wielkomińskiego zarazem śródmieścia urzekły z pewnością nie tylko nas. Trzeba tutaj dodać, gościny udzielił nam były dyrektor Muzeum Archeologicznego w Gdańsku i dawny vice- dyrektor Muzeum w Zielonej Górze Marian Kwapiński z rodu aptekarzy wyjątkowo zasłużonego dla województwa i naszego miasta. Ale nawet nie przypuszczałam, że z tym miastem będę kojarzyć i inne wydarzenia, związane z moim Ojcem.

Gdy pewnego dnia dowiedziałam się, że niebawem odbędzie się właśnie w Gdańsku, już po raz drugi, konkurs hejnalistów z radością i wielką nadzieją na sukces udostępniłam informacje dotyczące historii zielonogórskiego hejnalu Panu Andrzejowi Tumińskiemu. Pan Andrzej gra na trąbce w zielonogórskiej Filharmonii i zgłosił po raz pierwszy swoje uczestnictwo w tym konkursie. W tym momencie żałowałam, że moje wakacje w Trójmieście nie zbiegły się z tym wydarzeniem muzycznym. Wiem też, że mój Ojciec nigdy nie był w Gdańsku i tworząc w 1946 roku hejnał, nie przypuszczał, że właśnie ta muzyka zabrzmi kiedyś z gdańskiego Ratusza i będzie współtwórcą sukcesu odniesionego przez zielonogórskiego trębaczka.

„...Przemaszerowaliśmy z Katedry Mariackiej uliczkami Starego Miasta na Długi Targ pod ratusz gdański” – opowiada jeszcze podekscytowany Pan Tumiński. „Ja w stroju Herolda, efektownym, czerwonym, wypożyczonym z Teatru, wzbudza-



Andrzej Tumiński – najlepszy hejnalista II Ogólnopolskiego Festiwalu Hejnalistów w Gdańsku w 1999 r.

łem ogólne zainteresowanie, bowiem niewiele było tak barwnych postaci. Jechałam na konkurs z mocnym przekonaniem, że muszę wygrać. Było nas siedemnastu. Grałem czwarty w kolejności.

Wdrapałem się na 3 piętro ratusza i z wysokości 12 m ponad zgromadzonym tłumem zagrałem 4 utwory. Obowiązkowym był hejnał miasta i utwór Gaude Mater Polonia. Jako dowolny wybrałem sygnał Eurowizji i marsz z okazji koronacji królowej Danii. Byłem z siebie zadowolony, ze swojej gry, kondycji, którą długo trenowałem dręcząc uszy rodziny. Zwątpiłem w siebie dopiero po drugiej części. Wśród uczestników konkursu byli bowiem trębacz wytrawni, trębacz grający znane hejnały z tradycjami (z Krakowa), a także uczniowie członków Komisji Kwalifikującej. Tak więc dobre notowania miał trębacz z Ławy, młody muzyk grający z wielką lekkością i pewnością siebie, także muzyk solista Opery Pomorskiej z Bydgoszczy. I kiedy straciłem już tę pewność siebie w zwycięstwo, kiedy mina mi spoważniała, odczytano wyniki. Mnie wyczytano jako zwycięzcę przed hejnalistą z Ławy (II m.) i trębaczem z Bydgoszczy (III m”).

Wyobrażam sobie ten moment, nawet słuchając relacji zwycięzcy iza kręci mi się w oku. Całą siłą mej duszy przekazuje tę wiadomość mojemu Ojcu prosząc Boga, aby jak najszybciej do Niego dotarła. „...Udzielałem potem wywiadów, mówiłem o Zielonej Górze, o twórcy hejnalu, muzyku profesjonalście dr Romanie Mazurkiewicz, o historii melodii. Okazało się, że nasz hejnał ma dłuższą tradycję niż inne hejnały, a takie miasta jak Gdańsk, Poznań czy Warszawa, nie mają wcale swoich muzycznych wizytówek. Opowiedziałem więc historie i kiedy skłonny byłem odśpiewać tę melodię okazało się, że jest to jedyny hejnał posiadający słowa”.

Napisał je Pan Piotr Kłuciński, brzmią tak:

*Ziemio praojców nad Odrą i Nysą
Tyś jest jak perła z morskiego dna
Niech pieśń o tobie narody usłyszą
I niech cię kocha ten kto cię zna...*

I stało się, mimo długiej i zawilej historii hymnu, wbrew niechętnym tej muzyce, ma nasze miasto hejnał, który usłyszała cała Polska. Dziękuję za tę promocję zwycięzcy Panu Andrzejowi Tumińskiemu, dziękuję także w imieniu mojego Ojca.

Ten rok, ostatni rok tysiąclecia, zapisał się miłymi akcentami dla mnie i mojej rodziny. Najpierw wystawa w Muzeum w 30. rocznicę śmierci Ojca, biograficzna ekspozycja przedstawiająca Jego pasję, zainteresowania, dorobek muzyczny, a także malarski, oraz prace dla miasta. Potem akcent jeszcze miłszy – muzyka poszła w świat.

To co zostaje po człowieku w świadomości innych to najczęściej jego dorobek twórczy. Ale bez starań, bez walki i bez woli ocalenia od zapomnienia tego dorobku przez wrażliwych znawców najprawdopodobniej wszystko przeleżałoby zapomniane w szufladach.

Zdzisława Kraśko

WNUKI PIONIERÓW

Lubuskie akcenty w samorządzie studenckim

Nic tak dobrze nie wpływa na człowieka jak studiowanie. Nic nie sprawia tylu przyjemności co łączenie zabawy z nabywaniem wiedzy. Oczywiście nie są to jedyne dziedziny, którymi zajmuje się młodsza część społeczności akademickiej. „Dojrzałsi” studenci udzielają się społecznie poprzez pracę w różnego rodzaju organizacjach i stowarzyszeniach. Ja wybrałem członkostwo w samorządzie studenckim i już od dwóch lat jestem przedstawicielem braci studenckiej Uniwersytetu w Białymstoku.

W Polsce samorządy studenckie działają na podstawie ustawy o szkolnictwie wyższym z 12 września 1990 roku, oraz na podstawie własnych statutów. Zaprezentowanie przedstawicielstwa studenckiego rozpoczne od samorządu na Uniwersytecie w Białymstoku, gdyż jest to dosyć modelowy przykład. Na każdym wydziale, raz na trzy lata wybierane jest dziesięć osób do Wydziałowej Rady Samorządowej. Czynną i bierną legitymację wyborczą posiadają wszyscy studenci wydziału (choć na części uczelni ogranicza się to grono do studentów studiów dziennych). Wydziałowa Rada Samorządowa wybiera spośród siebie swoje władze (czyli przewodniczącego i jego zastępcę) oraz swoich przedstawicieli w Radzie Wydziału. Rada Wydziału jest to gremium składające się z profesorów, doktorów habilitowanych, przedstawicieli innych pracowników naukowych, przedstawicieli innych pracowników i przedstawicieli studentów. Ci ostatni stanowią co najmniej dziesięć procent składu rady na podstawie ustawy o szkolnictwie wyższym. Uczestniczenie w pracach tego najważniejszego organu wydziału jest czasami bardzo żmudne – wiem to z własnego doświadczenia. Wracając do Wydziałowej Rady Samorządowej, to zajmuje się ona sprawami socjalnymi (jak przydziałem akademików, stypendiów socjalnych, zapomóg jednorazowych, ustalaniem wysokości stypendiów naukowych), jak też rozdzielaniem określonej sumy pieniędzy na działalność studenckich organizacji wydziałowych. Ponadto organizuje imprezy studenckie np. Bal Prawnika, Połowinki, Bal V roku itd.). Oprócz tego Wydziałowa Rada Samorządowa powołuje swoich przedstawicieli do ogólnouczelnianego ciała studenckiego – na mojej uczelni nazywa się ono Parlamentem Studentów Uniwersytetu w Białymstoku. Ilość tychże przedstawicieli uzależniona jest od liczby studentów na danym wydziale i tak z mojego pierwszego wydziału – wydziału prawa – powoływanych jest pięciu członków, a z mojego drugiego – wydziału biologicznochemicznego – dwóch członków PSUwB. Parlament Studentów jest organem posiadającym własny budynek, własne władze, własny budżet oraz własne komisje – kultury, prawną, socjalną, do spraw kontaktów z innymi uczelniami. Ja najlepiej orientuję się w pracach komisji prawnej – ze względu na swój pierwszy kierunek studiów – i komisji kultury, w ramach której

jako jej przewodniczący, zajmowałem się „tworzeniem” życia kulturalnego studentów (między innymi współorganizowałem Białostockie Juwenalia). Uczelniany Parlament rozdziela fundusze na działalność studencką i wybiera swoich przedstawicieli do Senatu – najwyższej władzy uczelni, a także do Parlamentu Studentów Rzeczypospolitej Polskiej.

Parlament Studentów Rzeczypospolitej Polskiej jest reprezentantem wszystkich wyższych uczelni w Polsce i działa od siedmiu lat. Liczy około trzystu delegatów. Uczelniom posiadającym powyżej tysiąca studentów przysługuje jeden mandat, posiadającym powyżej czterech tysięcy przysługują dwa mandaty, posiadającym powyżej dwunastu tysięcy – trzy mandaty itd. Zielonogórska Politechnika wysłała dwóch delegatów, a zielonogórska WSP – trzech. Co roku, w kwietniu odbywa się sesja PSRP. W tym roku VII zjazd odbył się w Jachrance w dniach 23-25 kwietnia. Na takich sesjach w formie uchwał przedstawiane jest stanowisko środowiska studenckiego wobec spraw dotyczących szkolnictwa wyższego. Ponadto PSRP udziela opinii, o które obowiązkowo muszą się zwrócić organy państwa w sprawach aktów prawnych dotyczących studentów. Między sesjami najwyższą władzą jest Rada Studentów składająca się z 12 członków i przewodniczącego. Ponadto do władz statutowych należą: przewodniczący stałych komisji: prawnej, kultury, socjalno-ekonomicznej, naukowej oraz pięcioosobowa komisja rewizyjna. Władze są wybierane przez delegatów na zjazdach. Tam też zdają sprawozdania ze swojej działalności. Obecnie przewodniczącym PSRP jest przedstawiciel SGGW Wojtek Olejniczak.

Obok komisji stałych są także komisje tymczasowe, między innymi komisja do spraw wyższych szkół pedagogicznych, na czele której stoi Ewa Piątek – przedstawicielka zielonogórskiej WSP. Ja uczestniczę w pracach komisji do spraw promocji studentów, która zajmuje się szeroko pojętą „reklamą” braci studenckiej – między innymi poszukuje pracodawców zarówno dla studentów jak i absolwentów, podnosi kwalifikację społeczności akademickiej, załatwia sponsorów na stypendia zagraniczne. Jeżeli chodzi o komisje stałe, to mogę powiedzieć parę słów o komisji prawnej, której jestem członkiem. Jest to organ doradczy PSRP i Rady Studentów. Ciało to tworzy projekty uchwał. Ostatnio w Łodzi i w Warszawie komisja prawna zajmowała się proponowanymi zmianami w aplikacjach prawniczych, niehumanitarnym przewozem zwierząt oraz oceną projektów nowej ustawy o szkolnictwie wyższym. Z całą pewnością praca w komisjach PSRP uczy wielu rzeczy i przynosi dużo satysfakcji.

Bawienie się w samorząd studencki jest bardzo dobrym warsztatem. Zaprzyjaźniłem się z wieloma koleżankami i kolegami, spotkałem wielu wybitnych naukowców, interesujących ludzi kultury. Poznałem polityków i ludzi gospodarki. Nauczyłem się niejednego, a to z pewnością mi się przyda w przyszłości, kiedy będę starał się o pracę i kiedy będę pracował. Jest to forma zajęcia dla ludzi, którzy chcą być dobrze zorientowani w sprawach, które ich dotyczą i którzy chcą wpływać na te sprawy. Mimo tego, iż działalność w samorządzie nie przynosi korzyści materialnych, jest to praca społeczna – to jednak jestem w pełni zadowolony, iż rozpocząłem karierę samorządowca. Chciałbym, żeby „młodzi gniewni” zainteresowali się tą formą studenckiego hobby. Zwłaszcza mam tu na myśli studentów z mojego rodzinnego miasta Zielonej Góry...

Leszek Kariski

Rozmyślania po północy

Wiesław Müldner-Nieckowski

Zastanawiam się czy ponowić wniosek o upamiętnienie pobytu w Zielonej Garze Wiesława Müldnera-Nieckowskiego przez nadanie Jego imienia ulicy lub skweru.

Muzeum wystąpiło z takim postulatem w roku 1995 po wielkiej wystawie ukazującej własne zbiory tego znakomitego twórcy. Radni Zielonej Góry nie zaakceptowali propozycji. Nikt nie kwestionował wielkości późniejszych dokonań dla polskiej kultury, zielonogórzanina tylko z lat 1945-1949. Istotnie! Był tutaj niepełne cztery lata. Może Zieloną Górę potraktował jak stację przesiadkową do lepszego świata? Może ten wykształcony człowiek, wręcz erudyta i poliglota dusił się w naszym mieście? A może uznał, że Jego czas banity politycznego już się skończył, a może okazała się zbędna konspiracja lwowskiego AK-owca na Ziemiach Zachodnich? A może to tylko brak determinacji ze strony wnioskujących? Północ sprzyja takim rozmyśleniom chociaż nie dostarcza racjonalnych rozwiązań. Nie raz tak sobie myślę – wystarczył jeden dzień pobytu wybitnego twórcy, by starać się ten fakt ocalić od zapomnienia.

O północy myśli są czarne a wspomnienia odbite jak w matowym lustrze.

W osiemdziesiąt rocznicę urodzin Artysty wystawę pt. „Wiesław Müldner-Nieckowski 1915-1982” zorganizowało nasze muzeum. Scenariusz, aranżacja wystawy oraz tekst do katalogu to wynik wielomiesięcznego trudu Danuty Cyganek. Na uroczysty wernisaż przybyli: małżonka Artysty oraz synowie, zielonogórzanie z urodzenia, Piotr i Jacek, duchem obecna była też córka Małgorzata, która nie zdołała na czas dojechać ze Stanów Zjednoczonych. Wystawa merytorycznie kompetentna, estetycznie podana, wzbudziła zachwyt rodziny. Trzeba dodać, że przywieźli do Zielonej Góry małe formy rzeźbiarskie, które uzupełniły ekspozycję. Były toasty, spotkanie z Panem wiceprezydentem, była mowa o Galerii Autorskiej w Muzeum Miasta, były zapewnienia o środkach finansowych... Wszystko było tak dokładne jak żadna nie spełniona po dzień dzisiejszy obietnica. O północy pamięć żądli tym bardziej, im większa cisza dookoła.

„Nie udało się ustalić daty dziennej Jego przybycia, ale już w czerwcu 1945 roku zamieszkiwał przy ulicy Fabrycznej nr 9. Pierwsi mieszkańcy pamiętają, że był jednym z pracowników KERM-u. Z tej grupy wyłoniła się kadra administracji gospodarczej. Wykaz pracowników Urzędu Powiatowego dowodzi, że Wiesław Müldner-Nieckowski został zatrudniony w dniu 9 lipca 1945 roku na stanowisku kierownika Wydziału Przemysłu Starostwa Powiatowego” – pisze Danuta Cyganek w katalogu wydanym przez Muzeum w Zielonej Górze w roku 1995 z okazji Jego wystawy w naszym muzeum. Wydział, w którym pracował artysta plastyk, mieścił się w gmachu dzisiejszego muzeum, toteż kiedy po latach Pan Müldner odwiedził Zieloną Górę wszedł do znanego sobie gmachu, w którym spędził

cztery lata na mozolnym „przywracaniu polskości Ziemiom Odzyskanym”. W tym też gmachu po raz pierwszy spotkałem Artystę. Powiadomiono mnie, że do muzeum przyszedł jacyś państwo, którzy przyjechali z Warszawy. Byłem wówczas w magazynie u szefowej Działu Sztuki Dawnej, Kamili Marchelek. Utrudzony i ubrudzony, gdyż grzebał się w destrukcjach gotyckich, przeglądając co typować i co nadaje się do konserwacji. Gdy wyszedłem na korytarz trzeciej kondygnacji już tam stał pan w ciemnym garniturze i nieskazitelnie białej koszuli, a obok wytworna dama, blondynka, nieco wyższa od tego pana. Zapytali tego „palacza centralnego ogrzewania”, gdzie też może być dyrektor. Gdy chowając za siebie brudne łapy powiedziałem, że to właśnie Ja, z elegancją, nie okazując zdziwienia, jak przystało na ludzi z klasą, przedstawili się – Jestem Müldner-Nieckowski, a to moja małżonka Halszka. Nie wiedziałem jak się przywitać, gdy pachnąca piżmem i elegancją małżonka artysty delikatnie podała mi swoją dłoń. Czy ją ubrudzić, czy przeprosić, czy wreszcie udać, że ja zawsze taki proletariacki dyrektor? Potem była kawa i rozmowy, w których ustalono program działania na kilka lat, co było związane z proponowaną galerią autorską Artysty, mającą powstać w odbudowywanej na muzeum kamienicze w sąsiedztwie rynku.

W ramach prostowania pokrętnych ścieżek sprawiedliwości nie powstało Muzeum Historii Miasta Zielonej Góry. Zanim jednak do tego doszło, przebudowany budynek był gotowy wstanie surowym, a my zakupiliśmy do naszych zbiorów



Na zdjęciu od lewej: Wiesław Müldner-Nieckowski, autor opracowania oraz rzeźbiarze Tadeusz Dobosz i Kazimierz Żywuszek.

168 medali, 181 rysunków oraz 20 innych prac, wśród których znalazły się obrazy olejne, rzeźby, monotypy, linoryty i akwarele. Wśród rysunków w kolekcji znalazły się prace z tematyki – bułgarskiej, paryskiej, francuskiej, austriackiej, włoskiej, szwajcarskiej, hiszpańskiej, krymskiej, z kraju Basków, tureckiej, greckiej, z Sardyni, z teki weneckiej i polskiej. Słowem – przegląd prawie całego rysunkowego dorobku twórczego. Napisano to w jednym zdaniu, lecz prace nad wyborem dzieł trwały kilka miesięcy i wielka w tym zasługa Jacka Müldnera-Nieckowskiego wspaniałego człowieka, życzliwego naszemu Muzeum, który podobnie jak ojciec został artystą plastykiem.

Najstarszy zaś syn Piotr Müldner-Nieckowski swoją twórczą wolę objawił w literaturze. Z wykształcenia lekarz, pełnił już jako uznany pisarz stanowisko dyrektora wydawnictw lekarskich. Nie wiem nic natomiast o twórczych pasjach córki Małgorzaty, która na stałe przebywa poza krajem. Piszę o tym, gdyż zdolności artystyczne są w tej rodzinie potwierdzone zapisem genetycznym. Danuta Cyganek w cytowanym katalogu i Karol Czejarek (katalog z okazji wystawy – Artysta i Jego medale, Zielona Góra 1986) wspominają, że Wiesław Müldner już jako chłopiec objawił zdolności w kształtowaniu trójwymiarowych stworów i postaci. Zapewne z aprobatą przyglądał się tej pasji ojciec inżynier, profesor w lwowskiej szkole technicznej, z amatorstwa także malarz oraz matka, Sława z domu Wygrzywańska, wykształcona w konserwacji dzieł sztuki. Nawet dziadkowie ze strony ojca i stryjeczny objawiali poparte pracami zdolności malarskie.

Nie wiemy co dokładnie legło u podstaw decyzji przyjazdu bezdzietnego małżeństwa do Zielonej Góry w roku 1945. Karol Czejarek pisze: „Repolonizacja ziem, które wróciły po wiekach do Macierzy. Wiesław Müldner-Nieckowski pragnął także do tego wielkiego dzieła Polaków osobiście przyłożyć swoją rękę”.

Danuta Cyganek wyjaśnia: „Do wybuchu wojny i w czasie jej trwania mieszkał we Lwowie (urodził się w Zatorze, przypisek J.M.). W 1941 roku wstąpił do Armii Krajowej. Działał w podziemiu pod pseudonimem „Mały”. Zmiany polityczne naszych granic w 1945 roku wymusiły decyzję opuszczenia rodzinnego Lwowa. Dzisiaj wiele rzeczy już nie trzeba wyjaśniać. W Zielonej Górze dzielił los pionierów.

„W pewne niedzielne popołudnie... napotkaliśmy znajomego urzędnika starostwa, Nieckowskiego, z amatorstwa parającego się plastyką. Na marginesie dodam, że po kilku latach pobytu w Zielonej Górze wyjechał on do Warszawy, gdzie wkrótce zasłynął jako utalentowany artysta rzeźbiarz i twórca paru pomników stolicy” – pisze Mieczysław Turski. Dalej wspomina jak to powstał kabaret „Zielony Kot”, kto tam robił za artystę, kto za konferansjera, i że „Nieckowski własnoręcznie wykonał różne dekoracyjne przystawki oraz instalacje do tricków świetlnych”, aby dalej raczej ze smutkiem zanotować, iż „dochód z kilku przedstawień pochłonęły całkowicie koszty oprawy scenicznej... ale amatorzy ówczesni nie występowali dla zysku, nierzadko dopłacali ze swych kieszeni do należytego wyekwipowania się na scenę”.

(Mieczysław Turski. – Takie to były czasy, Tow. Przyjaciół Zielonej Góry. LTK, Zielona Góra 1973)

Od Danuty Cyganek dowiadujemy się, że Müldner „wykonał szereg dowcipnych barwnych elementów scenograficznych, a nawet instalacje do tricków świetlnych jak np. nadnaturalnej wielkości makietę zielonego kota, filuternie mrugającego oczyma”. Wielce zaszukany dla naszego miasta Turski skarży się w cytowanych zapiskach „Takie to były czasy”:

„Gdy Zielona Góra zaczęła aktywizować się pod względem kulturalnym i z inicjatywy grona zainteresowanych teatrem powstał kabaret literacki „Zielony Kot” plotka lansowana przez pewne drobnoburżazyjne i klerykalne koła głosiła, że zespół owej scenki to „kompania komedianów”, pijaków, zawalidrogów, usiłujących świadomie propagować pornografię i demoralizować czystych młodzieńców i nieskalane dziewice... W ten

niewyszukany sposób, jeszcze przed rozpoczęciem spektakli, urabiano opinię kabaretowi. **Dzisiaj takie fakty mogą wydawać się czymś nieprawdopodobnym...**” (podkreślenie J. M.).

A teraz ja „na marginesie dodam”.

W roku 1986 Muzeum w Zielonej Górze wydało cytowany już katalog towarzyszący wystawie medali, w którym dyrektor Departamentu Plastyki Ministerstwa Kultury i Sztuki Karol Czejarek pisał:

„Rad jestem, że to właśnie mnie muzeum powierza napisanie „słowa” o twórczości i działalności wielkiego formatu artysty malarza i rzeźbiarza, architekta wnętrz, ale przede wszystkim medaliera, jakim był i pozostanie w dziejach współczesnej kultury polskiej – Wiesław Müldner-Nieckowski”. Ponadto Karol Czejarek informuje: „W roku 1978 Prezydent Miasta Stołecznego Warszawy, Jerzy Majewski za całokształt twórczości i wybitne zasługi dla Warszawy – a należy tu rozumieć za wzbogacanie kultury narodowej (bo taka jest w istocie ranga tej nagrody, przyznawana wybitnym artystom polskim zamieszkałym w Warszawie) przyznał Wiesławowi Müldnerowi-Nieckowskiemu Nagrodę Miasta Stołecznego Warszawy”. I oto „nasz zielonogórzanin” został wpisany na listę kolegów laureatów, która rangę swoją między innymi zawdzięcza takim twórcom jak Tadeusz Kulisiewicz, Alfred Lenica, Gustaw Zemła, czy znany w Zielonej Górze Andrzej Strumiłło.

Przecieramy oczy ze zdumienia, bo oto kierownik Wydziału Przemysłu miasta powiatowego z Zielonej Góry (województwo powstało w 1950 r.) nagminnie mylonej z Jelenią Górą i Kamienną Górą, nade wszystko interesujący się sportem, zaprzyjaźniony ze Stefanem Słockim, Juliuszem Majerskim i Jego żoną rzeźbiarką Wandą Sokołowską, uczestnik libacji artystycznych, brat lata, „rodzony chłopak ze Lwowa”, jak mawiał Słocki, w dziesięć, piętnaście lat później wystawia swe prace w Arezzo, Barcelonie, Berlinie, Madrycie, Moskwie, Nowym Jorku, Oslo, Paryżu... Nagrody pochodzą z międzynarodowych konkursów np. z odległych Indii, czy od rządu francuskiego „za wkład w życie twórcze Paryża”, wyróżnienie z Accademia del Arte w Montecatini, nagrodę La Monnaie de Paris (pięciokrotnie) i nagrodę i złoty medal na konkursie międzynarodowym „Dantesca” w Rawennie, liczne krajowe itd.

Do Zielonej Góry wiedza ta prawie nie dociera. Ale też nikt nie wiedział, że kiedy „Mały” rozpoczynał karierę urzędniczą, to miał już ukończone gimnazjum im. Długosza we Lwowie, zaliczone kilka wycieczek zagranicznych (Francja – Niemcy – Włochy) oraz studia w paryskiej Akademii de la Grande Chaumière zakończone dwoma dyplomami z malarstwa i rzeźby u dwóch cenionych twórców i pedagogów francuskich.

Dla potrzeb administracyjnych w ZPAP wystarczyło, że w latach 1954-1961 studiował i uzyskał dyplom z zakresu architektury wnętrz w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Pięknych w Poznaniu. Trzeba tutaj dodać, że także posiadał dużą wiedzę konserwatorską, gdyż w tym zakresie kształcił się w Warszawie.

Jestem ogromnie wdzięczny Jackowi, że mogłem złożyć wizytę w warszawskiej pracowni przy ulicy Świętojańskiej 4, w której zapoznałem się z twórczością Jego ojca, tą dokonaną i tą w zakresie projektów. W Zielonej Górze najczęściej pracowali w mieszkaniu państwa Słockich, o czym mówiła żona Stefana, Pani Elżbieta: „Nieckowski i Stefan nie mieli pracowni,

najczęściej tworzyli w naszym mieszkaniu. Często wychodzili w plener. Prace z wycieczek po mieście i w okolice Zielonej Góry, prezentowali na pierwszych lubuskich wystawach. Prowadzili długie rozmowy o sztuce i o przyszłości zielonogórskiego środowiska plastycznego” (cytat z katalogu Danuty Cyganek).

Trzeba dodać, że obaj byli działaczami klubu sportowego „Zieloni”, chodzili na mecze, organizowali wystawy, odczyty. Żyli teatrem, kabaretem i zapowiadał się święty spokój taki trochę elitarny, inteligencki w mieście średniej wielkości, za dbanym, nie zniszczonym szczęśliwie przez wojnę, gdzie wszystko, nawet miłość ma wymiar spokojny, prowincjonalny. Wiesław Müldner-Nieckowski, ojciec trojga dzieci urodzonych w 1946 (Piotr), w 1947 (Jacek) i w 1949 (Małgorzata) postanawia bez powodu, bez rozgłosu opuścić miasto z całym swoim dorobkiem materialnym, którym była tylko i wyłącznie rodzina. Nikt za nimi nie płacze, nikt za nimi nie tęskni. W czterdzieści lat później opinia dyrektora Departamentu Plastyki Ministerstwa Kultury i Sztuki staje się dyspozycją badawczą dla zielonogórskich muzealników. „Ogromny i jeszcze nie zewidencjonowany jest dorobek Müldnera-Nieckowskiego. Jego prace znajdują się w zbiorach muzealnych za granicą, między innymi w Anglii, Danii, Indiach Zachodnich (Santa Lucia – Castries), Czechosłowacji, Finlandii, Francji, Hiszpanii, Holandii, Jugosławii, Kanadzie, NRD, NRF, Portugalii, Szwajcarii, Szwecji, Włoszech i Związku Radzieckim. Najważniejszy w Polsce, oczywiście w Muzeum Ziemi Lubuskiej”.

Siedzę przeto w warszawskiej pracowni jako ten ważny urzędnik z Muzeum w Zielonej Górze i z Jackiem omawiamy przyszłą galerię jego ojca. Postanawiamy, że zrekonstruujemy jej wygląd w Zielonej Górze. Jest to ważne, gdyż w tej warszawskiej pracowni zachował się ciężki obrotowy taorek rzeźbiarski, wykonany przez Pana Herolda, zielonogórskiego stolarza i fotografa, który towarzyszył całej ówczesnej bohemicznej artystycznej. Także później zaprzyjaźnił się z Klemem Felchnerowskim i Marianem Szpakowskim. Ramy i podkłady dla jednej pracy są dziełem Jego rąk. Ta prawda dzisiaj wręcz nie zasługuje na uwagę, ale przypomnijmy sobie czasy, gdy brakowało papieru, gwoździ, farb, a przede wszystkim suchego drewna na obramowania. Na wielu wystawach prace artystów „gwizdały”, to znaczy odchylały się jednym narożnikiem od ściany lub wybrzuszały się powodując pęknięcie płótna. Znajomość z rzemieślnikiem liczyła się na wagę złota, a o ile do tego dodamy jeszcze, że rzemieślnik był także twórcą i z przyjaźnią traktował kolegów artystów, to warto i taką postać odnotować w kronice wydarzeń duchowych.

Na przykład Władysław Szymański, fryzjer, był przez długie lata jako fotograf zatrudniony u Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków Klema Felchnerowskiego. Najbliższy fryzjer w latach 50-tych był w Czerwieńsku, a Klem bardzo dbał o swoją kruczożarną czuprynę. Takie to były czasy, że powtórzę za Mieczysławem Turskim.

Znane są na ogół początki ruchu plastycznego w naszym środowisku. Mało się jednak eksponowało działalność tak zwanego okresu heroicznego. W tych pierwszych latach grupa artystów najpierw rozproszona, szybko się zintegrowała i dała powody, aby dzisiaj twierdzić, że działali fachowo i organizacyjnie z pozytywnym skutkiem.

W 1947 roku odbyła się pierwsza wystawa Artystów Plastyków Ziemi Lubuskiej w Gorzowie. Na niej Müldner-Nieckowski wystawił osiem prac i otrzymał nagrodę oraz wyróżnienie. Obie prace są w naszych zbiorach muzealnych. W 1948 roku powstało Towarzystwo Sztuk Pięknych, w którym Müldner-Nieckowski był wice- prezesem od spraw artystycznych. Zorganizował „Wolne Studium plastyczne”. Wygłosił tam pierwszy odczyt z dziedziny sztuki o mało znanym artyście – van Gogh. W gmachu teatru „Grupa Zielonogórskich Artystów Plastyków” (założycielem grupy był Stefan Słocki) otrzymała lokal, a nawet pomoc finansową. Tutaj powstały Czwartki Lubuskie, o których Müldner mówił: „Czwartki Lubuskie dawały możliwość kontaktowania się z wielkim światem, pozwalały na kontynuowanie pracy nad sobą, łączyły wewnętrznie i zaszczepiały entuzjazm twórczy”. Na kolejnej wystawie, także zorganizowanej w 1948 roku Müldner otrzymał I nagrodę i dwa wyróżnienia. Te prace także są dzisiaj w zbiorach muzealnych. Rok później ponownie otrzymał nagrodę. Był pracowity, żywotny i miał wyjątkowe zdolności organizatorskie. Podziwiano Jego elegancję, „kindersztubę” i łatwość nawiązywania kontaktów. Po jego wyjeździe wiele inicjatyw poczęło wędznąć, ale też „to takie były czasy”. Plastykom zabrano lokal. Krzywo patrzone na organizację powstałą z dobrowolnej inicjatywy. Minister Kultury i Sztuki Włodzimierz Sokorski zapowiedział w lutym 1949 roku w Szczecinie, socrealizm, cytując dla przeciwników tej doktryny Dantego „Porzućcie wszelkie nadzieje”, Jakub Berman od kultury i bezpieczeństwa publicznego w KC PZPR, w maju tego samego roku wskazywał jawnie na artystów nie akceptujących socrealizmu jako na wrogów Polski Ludowej.

W Zielonej Górze nie było tradycyjnego zapotrzebowania na artystów. Ludzie przywiezieni ze Wschodu leczyli blizny, mieli przykre doświadczenia, wzmożenie terroru przerażało, nie wszyscy rozpakowywali toboły i walizki. Dla tych z małych siół, zapadłych wsi i chutorów samo miasto było wystarczającym awansem. Rok 1950 ożywił administrację, ale równocześnie ograniczał wszelką inicjatywę prywatną. Plastycy jednakże wybijali się na niepodległość. Mimo wszystko!

W Warszawie Wiesław Müldner-Nieckowski okazał się „świetnym kompanem i dyskretnym doradcą”. Pełnił przez kilka lat funkcję wiceprezesa Okręgu Warszawskiego Związku Polskich Artystów Plastyków, działał w Zarządzie Głównym ZPAP, w komisjach doradczych Ministerstwa Kultury i Sztuki... Był mocno związany z Warszawą, którą pomagał wznosić z ruin w latach 1949-1953. Jego dziełem są m.in. płaskorzeźba na tympanonie Pałacu Prymasowskiego, wystroje... na Zamku Ostrogskich na Tamce, rzeźby w Pałacu Branickich... czy w Pałacu Rzeczypospolitej...

W Warszawie też znajdują się jego większe realizacje i kompozycje pomnikowe. Były dni kiedy dużo malował, ale wkrótce tęsknił za dotykiem zimnej gliny... Zawsze cierpiał z powodu braku czasu, nieumiejętności zorganizowania sobie dnia pracy. Był taki czas, denerwowała go nawet konieczność spania... dopóki nie wtrącili w to swoje trzy grosze lekarze. A wcześniej serce. Zmarł nagle 2. IX 1962 r.

(Cyt. za: Karol Czejarek, Artysta i jego medale)

Jan Muszyński

W walce z ogniem

Organizacja jednostek straży pożarnych w Zielonej Górze w 1945 r.

Do podstawowych zadań tworzącej się na obszarach tzw. Ziemi Odzyskanych administracji polskiej należało m.in. zapewnienie ochrony przeciwpożarowej zamieszkałej tu ludności. Do miast i wsi, częściowo opuszczonych przez dotychczasowych mieszkańców, napływali coraz to nowi przybysze. Część, z zamiarem rozpoczęcia nowego życia i znalezienia nowego miejsca zamieszkania, część zaś, wiedzioną pragnieniem łatwego i szybkiego zarobku, przybywała by jak najszybciej wyjechać z łupem. Dla ostatnich, pustoszące ziemie stanowiły prawdziwe Eldorado. Płądowano wszystko – miasta, wsie, fabryki, zakłady, gospodarstwa – kradnąc wszelkie dobro dające się spakować czy to do tekturowej walizy, dwukółki, wozu drabiniastego, czy to na wypożyczony lub skradziony samochód. Działalność szabrowników, obok poczynañ niesubordynowanych, pijanych żołnierzy radzieckich była źródłem licznych i groźnych pożarów. Podejmowane nocą wyprawy, w trakcie których używano najprostszych i najprymitywniejszych źródeł światła w postaci pochodni, stawały się podstawowymi przyczynami powstawania ognia. Tworzone z ludzi często przypadkowych i nieodpowiednich siły milicji, nie potrafiły początkowo skutecznie zwalczać plagi grabieży. Trudno też było uporać się ze wzrastającą liczbą pożarów. Problem ten, sygnalizowany władzom centralnym, postanowiono rozwiązać poprzez delegowanie na tereny zagrożone jednostek lub grup osób przygotowanych pod względem fachowym do zwalczania ognia. W nowo tworzonych starostwach powiatowych organizację sił przeciwpożarowych powierzano instruktorom, działającym w ramach referatów do spraw ochrony przed pożarami i innymi klęskami.

Z fachowością instruktorów w praktyce było różnie. W powiatach tworzących przyszłe województwo zielonogórskie funkcje te obejmowali głównie działacze ochotniczych straży pożarnych z różnych stron kraju, legitymujący się różnorodnym stopniem opanowania kunsztu strażackiego. W tym gronie trudno było znaleźć doświadczonych oficerów przedwojennego pożarnictwa. Zdarzały się wypadki wypełniania zadań instruktora przez osoby całkowicie pozbawione przeszkolenia strażackiego. Te braki starano się nadrabiać entuzjazmem i szybkim kształceniem kadr. Efekty były nie zawsze zadowalające, biorąc pod uwagę potrzebę chwili. Trzymiesięczne przeszkolenia lub półroczne kursy oficerskie nie dawały niezbędnego doświadczenia. W przypadku Gorzowa Wlkp. i Zielonej Góry, szczęśliwie, sprawy ochrony przeciwpożarowej znalazły się w dobrych rękach. W Gorzowie działali wspólnie zawodowi strażacy Michał Kolasieński i Tadeusz Begier, w powiecie gorzowskim Paweł Noak, zaś w Zielonej Górze i powiecie, mogący się pochwalić dużym doświadczeniem ochotnicy – Józef Jankowski i Marian Simiński.

Pierwszoplanową postacią, niejako twórcą zielonogórskiej straży pożarnej z prawdziwego zdarzenia, był Józef Jankowski z Grodziska Wlkp. Wywodził się on z rodziny o dużych tradycjach pożarniczych, a ochotniczą służbę w straży rozpoczynał w 1925 r. Po wojnie, Jankowskiemu powierzono funkcję instruktora powiatowego w Nowym Tomyślu. W czerwcu 1945 r. na prośbę ppłk Tadeusza Buszy, inspektora ochrony przed pożarami i innymi klęskami z Poznania, Józef Jankowski zgodził się pracować równolegle w powiatach nowotomyskim i zielonogórskim. Rolę zastępcy Jankowskiego i jednocześnie komendanta straży w samej Zielonej Górze miał pełnić Marian Simiński.

W dniu 2 lipca 1945 r. Józef Jankowski, Marian Simiński i trzeci strażak – ochotnik z Grodziska Wlkp. – Bolesław Filipiak przybyli pociągiem do Zielonej Góry, z zadaniem budowy straży pożarnej w mieście i powiecie.

Sytuacja straży w Zielonej Górze w początkach lipca 1945 r. nie była dobra, tak w kwestii kadr strażackich, jak i zaopatrzenia i wyposażenia. Zadania straży wypełniali Niemcy przymusowo skoszarowani w budynku strażnicy przy ul. Kasprowicza. Na terenie starej i nowej przedwojennej siedziby straży skomasowano 45 Niemców w różnym wieku, w większości nie przygotowanych do zadań jakie mieli wykonywać. Pełnili oni służbę w systemie zmianowym 24 x 24. Na wieży ratusza znajdował się główny punkt obserwacyjny, gdzie umieszczano „strażaka” wyposażonego w tubę i syrenę.

Większość sprzętu pożarniczego ewakuowano z miasta jeszcze przed przybyciem wojsk radzieckich. Najprawdopodobniej niemieccy strażacy z Zielonej Góry wyjechali wraz z podstawowym wyposażeniem do innych miejscowości intensywnie bombardowanych przez lotnictwo sprzymierzonych. Na terenie strażnicy pozostał tylko wózek dwukołowy ze stojakiem hydrantowym, stara motopompa, około 200 metrów częściowo zniszczonych węży tłocznych oraz sztandar niemieckich strażaków. Dysponując powyższym sprzętem do pożaru załoga strażnicy udawała się piechotą, ciągnąc ze sobą wózek z węzami. Jedyną pozytywną okolicznością ułatwiającą gaszenie pożarów było utrzymanie w należytym porządku hydrantów miejskich.

Taki stan ochrony przeciwpożarowej w Zielonej Górze zastali przybyli do miasta strażacy polscy. Po zameldowaniu się u przedstawiciela miejscowej administracji J. Jankowski i M. Simiński zamieszkali na terenie strażnicy. Odmówili propozycji zajęcia jednej z nie zasiedlonych jeszcze willi, motywując to koniecznością bezpośredniego nadzoru nad pracami związanymi z przygotowaniem straży pożarnej do zadań.

W ówczesnych warunkach pole manewru organizatorów

było ograniczone. Zmuszeni byli opierać się na siłach i środkach będących w ich bezpośrednim zasięgu. Podstawową siłę straży stanowili początkowo z konieczności wspomniani wcześniej Niemcy. Dokonano jednak przeglądu „kadr”, w wyniku czego zrezygnowano z trzydziestu „strażaków”, pozostawiając 15 sprawnych. Wybranych zgrupowano w dwóch sekcjach, pracujących na dwie zmiany. Bezpośrednią pracę szkoleniową z Niemcami rozpoczął Marian Simiński. Działania organizacyjne, planowanie i kierowanie całością przedsięwzięć przeciwpożarowych w mieście i powiecie spoczęło na barkach J. Jankowskiego. Wkrótce też otrzymał on dodatkowe obowiązki nadzoru nad funkcjonowaniem referatów do walki z pożarami i innymi klęskami w rejonie miast: Krosno – Gubin – Sulechów – Świebodzin – Międzyrzecz – Słubice.

Istnienie w Zielonej Górze straży pożarnej składającej się z Niemców stanowiło rozwiązanie tymczasowe. Ambicją władz było zorganizowanie polskiej jednostki. W istniejącej sytuacji jednak posunięcia propagandowe należało odłożyć na plan dalszy. Palącą koniecznością okazało się objęcie zasięgiem działania straży całego powiatu. Stworzenie jednostki zawodowej pozostawało w tym okresie marzeniem nieizrealnym. Jedynym rozsądnym rozstrzygnięciem problemu było powołanie obok przymusowej straży niemieckiej, ochotniczej straży pożarnej składającej się z Polaków – mieszkańców Zielonej Góry i okolic. Trzon jednostek tworzyć mieli członkowie straży, działacze pożarnictwa, przybyli z innych miejscowości.

W końcu lipca 1945 r. w porozumieniu z władzami miejskimi zwołano pierwsze zebranie założycielskie, na które przybyło około 30 osób. W tym gronie zdecydowano o powołaniu ochotniczej straży w Zielonej Górze, wybierając jednocześnie władze nowej jednostki. Prezesem Zarządu został Jan Ludwiczak, naczelnikiem Bolesław Filipiak, sekretarzem Franciszek Cieszyński, a skarbnikiem Józef Jankowiak. W szeregach straży aktywnie działali również: Adam Gawroński, Leonard Teichert, Czesław Fiksiński i Jan Gajdziński. Z czasem zielonogórska straż stała się jedną z najlepszych w powiecie i wykorzystywana była do gaszenia pożarów nawet w sąsiednim województwie. Idąc za przykładem zielonogórców stworzono strażę ochotniczą w powiecie. Do Zarządu Oddziału Powiatowego Związku Straży Pożarnych weszli m.in. Marcin Kulczak, Feliks Kubale, Jan Ludwiczak, Stanisław Podkowski i (?) Niwiński. Przy wsparciu Józefa Jankowskiego tworzyli oni strażę m.in. w Konotopie, Kolsku, Płotach, Czerwieńsku, Starym i Nowym Kisielinie, Nietkowicach i Zaborze. W ten sposób stworzono istotne podwaliny pod budowę polskich organizacji strażackich mających nieść pomoc ludności miasta i okolic.

W samej Zielonej Górze w szybkim tempie uporano się z plagą pożarów powodowanych przez szabrowników. Złożyły się na to administracyjne działania profilaktyczne – represyjne wobec niechcianych przybyszów oraz szybkie i sprawne przedsięwzięcia straży pożarnej. Nie wyeliminowano rzecz jasna w całości zagrożenia pożarowego. Pożary nadal wybuchały w mieszkaniach i zakładach pracy, lecz zmniejszyła się ich częstotliwość. Codziennieścią pozostawały mniejsze pożary spowodowane nieuwagą i lekkomyślnością mieszkańców. Niektóre, z pozoru niegroźne, kończyły się czasami tragicznie. Bywały też pożary większych obiektów, wymagające zaangażowania wszystkich sił i wsparcia strażaków ze strony ludności. Do poważniejszych zdarzeń w 1945 r. w Zielonej Górze należał po-

żar cegielni, w której mieściły się koszary taboru wojsk radzieckich. Pomimo sprawnej akcji zabudowania uległy całkowitemu zniszczeniu. Przyczyną powstania ognia było podpalenie. W tym wypadku strażacy byli bezsilni wobec żywiołu.

Spektakularną akcją przeprowadzoną przez strażaków z Zielonej Góry, kierowaną przez Józefa Jankowskiego było ugaszenie pożaru w fabryce nici w Nowej Soli. Miejscowe władze, nie mogąc opanować sytuacji, spisały magazyny, wraz zawartością na straty. Po dwa tygodnie trwającym pożarze na miejscu akcji pojawił się J. Jankowski wraz ze strażakami zielonogórskimi. W wyniku trzydziestosiedmiogodzinnych zmagañ z żywiołem pożar zlokalizowano i ugaszono, ratując tym samym dobra znacznej wartości. W działaniach uczestniczyli na zmianę strażacy niemieccy i polscy strażacy – ochotnicy. Udana i wzorowo przeprowadzona akcja nowosolska przyniosła sławę strażakom zielonogórskim i ich dowódcy w województwie poznańskim i wrocławskim. O jej przebiegu i efektach osobiście przyjechał przekonać się ppłk Busza z Poznania. Kolejną okazją do pokazania umiejętności pożarniczych stał się dla strażaków zielonogórskich pożar w fabryce tektury papowej w Krępie. Obok straży z komendy powiatowej, ochotników z Zielonej Góry i Zawady w gaszeniu pożaru udział braли strażacy z zakładów „Wagmo” i Krępy. Sprawne poczynania



ratowników uchroniły fabrykę przed pokaźnymi stratami. Początkowo jako przyczynę powstania ognia podejrzewano celowe podpalenie, lecz śledztwo przeprowadzone przy udziale J. Jankowskiego wskazało jednoznacznie na samozapalenie, wynikłe z wadliwego przechowywania półfabrykatów.

Ofiarność i poświęcenie z jakim działali strażacy zielonogórcy przyczyniła się wkrótce do pojawienia się pierwszych ofiar w walce z pożarami. W Sylwestra 1946 r. wybuchł pożar w budynkach należących do Urzędu Bezpieczeństwa w Zielonej Górze, znajdujących się nieopodal dzisiejszego szpitala. W trudnych warunkach atmosferycznych, przy pokaźnym mrozie, wybuchach amunicji karabinowej strażacy starali się uratować dobytek mieszkańców budynku, pracowników urzędu. Ubrania uczestników akcji, zmoczone, twardniały na mrozie. Jeden ze strażaków – ochotników, pracownik „Wagmo”, przeziębiony się, zapadł na zapalenie płuc w wyniku czego wkrótce zmarł. W pogrzebie pierwszego zmarłego strażaka uczestniczyła załoga komendy powiatowej, ochotnicy wraz ze sztandarem. Kondukt pogrzebowy prowadził instruktor powiatowy Józef Jankowski.

Osobny problem w pionierskiej działalności straży z Zielonej Góry stanowiły pożary leśne, do dziś zresztą będące główną bolączką pożarników lubuskich. W tamtych czasach dominowały trzy podstawowe przyczyny powstawania ognia na tych obszarach: ćwiczenia wojskowe na poligonach, sabotaż i nieostrożność mieszkańców wsi. Pożary leśne miały swoją specyfikę i wymagały określonej taktyki działań. Słaby poziom wcześniej ostrzegania, brak rozwiniętych służb leśnych i obserwatorów powodował dość późne powiadamianie straży o wystąpieniu zagrożenia. Walka z żywiołem pożaru leśnego, szczególnie niebezpiecznego w warunkach terenowych Ziemi Lubuskiej, przy braku odpowiedniego sprzętu, nakładała na dowodzącego konieczność zapewnienia sporych sił ludzkich. Działać należało szybko i skutecznie. Wsparcie strażacy otrzymywali spontanicznie ze strony dość gęsto rozlokowanych jednostek wojskowych oraz ludności cywilnej. Dowóz zapewniano albo poprzez transport wojskowy, albo drogą rekwizycji samochodów ciężarowych. Często „strażaków” zabierano wprost z imprez, spod kościoła, z kina czy wesela. Pomocy udzielano chętnie, bez przymusu i szczególnej perswazji. Ten sposób rekrutacji uczestników akcji gaśniczych, czy też przeciwpowodziowych upowszechnił się w większości powiatów zielonogórskich.

Celowe podpalenia, dokonywane przez sabotażystów niemieckich nie należały do rzadkości. Między innymi ich sprawcami bywali ludzie obsługujący pociągi kursujące z Niemiec do Polski. Kolejarze niemieccy wyrzucali w lasach palące się węgle. Takie przypadki, gdy w trakcie jednego kursu załoga pociągu powodowała kilka pożarów, opisywał we wspomnieniach Józef Jankowski. W celu ustalenia sprawców takich podpałów instruktor powiatowy z Zielonej Góry zorganizował specjalną kilkudniową zasadzkę w lasach krośnieńskich.

Obok zadań związanych z akcją zapobiegania pożarom, bezpośrednim zwalczaniem ich skutków, pojawiła się konieczność szkolenia kadr pożarniczych, przygotowanych do pełnienia służb na nowo zasiedlanych obszarach i w uruchamianych zakładach produkcyjnych. Impuls do organizacji w Zielonej Górze kursów pożarniczych dał podczas swej wizyty w mieście inspektor wojewódzki z Poznania ppłk Tadeusz Busza. Ośrodek szkoleniowy w formie skoszarowanej zorganizowano w strażnicy przy ul. Kasprowicza. Wykłady i zajęcia odbywały się w świetlicy. Sypialnię stworzono w jednym z mieszkań, gdzie postawiono trzypoziomowe łóżka z siennikami wypchanymi słomą. Pomimo pionierskich warunków chętnych do szkolenia nie brakowało. Śniadania i kolacje kursanci przygotowywali wspólnie we własnej kuchni, niektórzy przyjeżdżali z własnym prowiantem. Obiady serwowano w jadalni przy ul. Szkolnej. Frekwencja na kursach pożarniczych w Zielonej Górze była pełna. Pierwszy kurs dla mechaników motopomp odbył się w dniach 8–13 stycznia 1946 r. Zajęcia na kolejnych turnusach, obok Józefa Jankowskiego prowadzili pracownicy przyjeżdżający z Komendy Wojewódzkiej z Poznania, w tym m.in. Włodzimierz Uświeczew, Marian Ślusarek, Gola i Stefan Antoniak (późniejszy pierwszy komendant wojewódzkiej straży pożarnych w Zielonej Górze). W pierwszym roku działalności ośrodka obok kursu obsługi motopomp zorganizowano również zajęcia wyszkolenia podstawowego, dla dowódców sekcji, plutonu, a także specjalistyczne dla młynarzy i przedstawicieli innych zawodów.

Straż pożarna rozwijała się, zdobywając nowy sprzęt. W 1946 r. posiadała ona własne motopompy i samochód strażac-

ki. Co prawda ów pojazd nie był samochodem gaśniczym z prawdziwego zdarzenia, ale stanowił nieocenione wsparcie dla działań, niekiedy decydując o ich skuteczności. Dysponując samochodem, zatrudniono w 1946 r. dwóch kierowców i czterech strażaków, pracujących na zmiany. W 1947 r. pożegnano się ze strażakami – Niemcami, gdyż wówczas właśnie wysiedlono ich wraz z pozostałą grupą ich rodaków. Od tej pory cały ciężar ochrony przeciwożarowej przejęli Polacy. Do sześciu osobowego pogotowia dokooptowano dalszych czterech strażaków zawodowych. W 1948 r. w ramach miejskiej straży pożarnej działały już dwie samodzielne sekcje z czterema kierowcami.

Stabilizacja sytuacji w mieście i „normalizacja” życia przyczyniły się do spadku aktywności członków ochotniczej straży pożarnej i ostatecznie rozwiązania jednostki. Tendencja ta, najzupełniej prawidłowa, dotyczyła głównie obszarów zaangażowania w bezpośrednie działania przeciwożarowe. Członkowie straży brali czynny udział w życiu społecznym miasta, lecz już w innym nieco wymiarze. Z upływem czasu ciężar podstawowych zadań przeciwożarowych przenosił się na barki organizującego się pogotowia zawodowego. Straż ochotnicza, jako organizacja społeczna mieszkańców, przejmowała rolę wspierającą, propagującą idee ochrony przeciwożarowej. W 1945 i 1946 r. polscy strażacy – ochotnicy oprócz udziału w akcjach ratowniczych czynnie uczestniczyli w istotnych dla tworzącego się nowego życia polskiego wydarzeniach. Odegrali istotną rolę w procesie integracji tworzącej się społeczności Zielonej Góry. Współorganizowali m.in. pierwsze święto Winobrania, „Dnia Spółdzielczości”, obchody 1 Maja. Ze sztandarem maszerowali w pochodach i procesjach, z okazji świąt państwowych i religijnych. Entuzjazm pierwszych miesięcy opadł, gdyż taka była naturalna kolej rzeczy. Każdy poszukiwał własnego miejsca w życiu, zakładano rodziny, rozpoczynano kariery. Życie wkraczało na swe, w miarę możliwości, normalne tory. Zgodnie z tym, rolę amatorów przejmowali fachowcy – przeszkoleni strażacy zawodowi. Ku końcowi miała się też misja Józefa Jankowskiego. W Zielonej Górze i powiecie zbudowano jednostki zawodowej i ochotniczych straży pożarnych, mogących skutecznie chronić ludność przed skutkami pożarów. J. Jankowski nie związał się bliżej z Zieloną Górą i w styczniu 1949 r. powrócił na zawsze w rodzinne strony. Jego rolę przejął inny Wielkopolek, także strażak z krwi i kości – Stanisław Koliński z Lwówka. Radą i pomocą służył mu, pozostały w mieście, dowódca zielonogórskiej „zawodówki” Marian Simiński. W styczniu 1950 r. pogotowie przemianowano na Miejską Zawodową Straż Pożarną w Zielonej Górze. Trzydziestoosobowa jednostka posiadała wówczas na wyposażeniu 3 samochody pożarnicze i 4 motopompy.

Stanisław Koliński jako gospodarz, w swej skromnej siedzibie 17 września 1950 r. przyjmował pierwszego komendanta wojewódzkiej straży pożarnych w Zielonej Górze por. poż. Stefana Antoniaka. S. Antoniak i S. Koliński wraz dwoma innymi oficerami przybyłymi „z terenu” – ppor. ppor. Karolem Grondysem i Pawłem Neumanem organizowali Komendę Wojewódzką Straży Pożarnych w Zielonej Górze przy ul. Sobieskiego 5. Historia organizacji i rozwoju tej placówki, istniejącej nieprzerwanie blisko 50 lat to jednak już inna, równie interesująca opowieść.

Krzysztof Benyskiewicz

Harcerskie początki w mieście Zielona Góra w latach 1945-1949

Niniejsze opracowanie powstało na kanwie wspomnień dr. h. c. m. Tadeusza Markowskiego, który w latach 1945-1949 był jednym z tych, którzy organizowali harcerstwo na terenie miasta Zielona Góra.

W roku 1989 współpracując z Komisją Historyczną ZHP opracował on dwie prace o charakterze wspomnieniowym:

1. Harcerskie początki w Zielonej Górze 1945-1949
2. IV Drużyna Harcerzy im. Księcia Józefa Poniatowskiego w Zielonej Górze w latach 1945-1949

Obydwa opracowania zostały zamieszczone w Biuletynie Komisji Historycznej „Wici”, wydawanym przez Komendę Chorągwi ZHP w Zielonej Górze. Były to wspomnienia oparte na własnych przeżyciach, doznaniach i zachowanych dokumentach. Wkrótce po ich opracowaniu odszedł na „wieczną wartę”.

* * *

Druga wojna światowa dobiegła końca. Ofensywa wojsk radzieckich podjęta w styczniu 1945 roku dotarła do Zielonej Góry. Samo miasto zostaje zajęte w dniu 14 lutego 1945 r.

Po zakończeniu wojny zaczyna napływać ludność polska celem osiedlenia się. Wraz z nimi na teren miasta przybywają starsi i młodszy harcerze oraz instruktorzy. Stopniowo miasto budziło się do polskiego życia. Powstają pierwsze polskie szkoły. Powstają organizacje młodzieżowe...

W tych warunkach rodzącego się polskiego życia, organizuje się także harcerstwo polskie – jako organizacja wychowawcza dla dzieci i młodzieży będąca organizacją niezależną i apolityczną.

Początki organizacji

Jako pierwsza powstaje drużyna harcerzy im. Baden Powella, której organizatorem i drużynowym był Hieronim Rutkowski. Pierwsza zbiórka odbyła się w dniu 18 lipca 1945 r. na podwórku znajdującym się na zapleczu budynku nr 48/49 przy ulicy Pionierskiej róg ul. Widok. Na kilka dni przed zbiórką rozwieszono plakaty ogłoszeniowe. Zgłosiło się około 25 chłopców. Była to drużyna środowiskowa, działająca na terenie całego miasta. Drużyna miała swoją harcówkę przy ulicy Wiśniewej, a następnie w szkole powszechnej nr 1 przy placu Słowiańskim. Pierwszymi zastępowymi byli: Tadeusz Rutkowski, Zdzisław Nikodem, Władysław Majkut, Tadeusz Ziółkowski, Roman Mazurkiewicz i Stefan Rutkowski. Przybocznym był Eugeniusz Chrzastkowski.

Drużyna miała sztandar, własnoręcznie wykonany przez harcerzy. Drużyna nosiła chusty koloru niebieskiego. Kolejnymi drużynowymi byli: Kazimierz Jarachowski, Bolesław Dąnielczyk. Drużyna przestała istnieć na przełomie 1946/1947 roku. Powodem było przejście większości jej członków do nowo powstających drużyn jako ich organizacyjna kadra.

Ponownie zorganizowano ją 9.09.1947 r. przy szkole zawodowej przy ul. Bema. Drużynowym był Tadeusz Markowski, a następnie Kazimierz Węclewicz. Przybocznym był Edmund Adamczewski. Drużyna liczyła 42 osoby w tym 15 harcerzy z Krępy. Drużyna istniała do września 1949 r.

We wrześniu 1945 przy nowo otwartym przy placu Słowiańskim Miejskim Koedukacyjnym Liceum i Gimnazjum, powstaje drużyna im. Zawiszy Czarnego. Jej organizatorem i drużynowym był Janusz Szymański, który ją prowadził do jesieni 1946. Drużyna nosiła chusty koloru czarnego.

14.10.1945 r. została otwarta pierwsza szkoła powszechna nr 1 przy pl. Słowiańskim. Przy tej szkole na przełomie października i listopada powstała drużyna harcerzy im. Bolesława Chrobrego, której drużynowym został Jerzy Matuszewski, a następnie Antoni Ostrowski. Kolor chust zielony.

19.10.1945 r. zostaje otwarta szkoła powszechna nr 2 przy ul. Długiej. Tu zorganizowana została drużyna harcerzy im. Józefa Poniatowskiego, która powstała na przełomie października i listopada 1945 r. Drużynowym był Roman Mazurkiewicz, który pełnił tę funkcję do końca września 1946 r. Następnie funkcję tę pełnili Zbigniew Głogowski i Edmund Piątkowski (od lutego 1947). Drużyna nosiła początkowo chusty koloru niebiesko-pomarańczowego a od lutego 1948 – granatowe.

Wraz z powstaniem pierwszych drużyn powstaje Hufiec, którego komenda ustala następującą numerację drużyn:

- 1) Drużyna Harcerzy im. Zawiszy Czarnego;
- 2) Drużyna im. Baden Powella;
- 3) Drużyna harcerzy im. Ks. Józefa Poniatowskiego;
- 4) Drużyna Harcerzy im. Tadeusza Kościuszki w Raculi;
- 5) Drużyna Harcerzy im. Andrzeja Małkowskiego, drużynowy Eugeniusz Chrzastkowski, kolor chust zielony;
- 6) Drużyna Harcerzy w Chynowie, drużynowy Józef Bachan;
- 7) Drużyna Harcerzy im. gen. Henryka Dąbrowskiego w Kisielinie, organizatorem był p. m. Warchoł, a następnie drużynowym Bolesław Grobelny;
- 8) Drużyna Harcerzy im. Jana III Sobieskiego w Ługach;
- 9) Drużyna Harcerzy im. Bolesława Chrobrego w Otyniu;
- 10) Drużyna Harcerzy im. Zawiszy Czarnego w Czerwieńsku, drużynowy dh. Konopka, a po nim Zbigniew Kowalówka;
- 11) Drużyna im. Mariusza Zaruskiego w Rybojadach (Bojadła). Była to drużyna wodna, zorganizowana przez Włodzimierza Maciejewskiego i Euligiusza Borde;
- 12) Drużyna Harcerzy im. Mieszka I w Jędrzychowie, drużynowy dh. Małarczyk;
- 13) Drużyna w Konotopie.

Do Hufca Harcerzy w Zielonej Górze należały też drużyny z Sulechowa, a mianowicie:

- 1) Drużyna im. Bolesława Chrobrego. Drużynowymi byli dh. Serafinowicz, Henryk Rybarczyk, Zbigniew Strzelecki;
- 2) Drużyna Harcerzy im. gen. Władysława Sikorskiego. Jednym z drużynowych był Adam Różowicz.

W roku 1948 i 1949 powstały w Zielonej Górze dalsze drużyny:

- Drużyna przy Szkole Ćwiczeń na pl. Słowiańskim 25, drużynowy Zdzisław Majchrowicz, kolor chust brązowy;
- Drużyna Harcerzy im. Floriana Marciniaka przy Szkole Podstawowej nr 5 przy ul. Chrobrego, drużynowy Włodzimierz Maciejewski, chusty koloru niebieskiego z pomarańczowym obramowaniem;
- Lotnicza Drużyna Harcerzy.

Drużyny podjęły działalność w oparciu o założenia przedwojennego harcerstwa, którego celem było:

- wychowanie metodami harcerskimi, dzielnych, prawych i zdolnych do poświęceń ludzi w myśl Prawa i Przysiężenia Harcerskiego.

– przygotowanie młodzieży do świadomej, czynnej i ofiarnej służby dla Ojczyzny, opartej na jej umiłowaniu i żołnierskiej gotowości do jej obrony, bezinteresowności, karności obywatelskiej i honorze.

Organizacja Hufca

Zielona Góra była miastem powiatowym. Terytorialnie należała do województwa poznańskiego, gdzie mieściła się Komenda Chorągwi Wielkopolskiej, której podlega zielonogórski hufiec.

Pierwszym komendantem hufca w Zielonej Górze był phm. Jakub Warchoń. Był on kierownikiem szkoły w Kisielinie. Przebywał na terenie powiatu tylko kilka miesięcy.

Następnym hufcowym był Tadeusz Świata. Pełnił tę funkcję już od 1.02.1946 r. Z dniem 15.09.1946 r. został powołany na tę funkcję phm Tomicki. Pełnił ją bardzo krótko. Od jesieni 1946 r. funkcję p.o. Hufcowego objął Janusz Szymański, pełniąc ją do października 1947 r. Kolejnym komendantem Hufca na przełomie X/XI 1947 r. został Tadeusz Krajewski. Pełnił tę funkcję do końca 1949 roku.

A oto niepełny wykaz funkcyjnych w Komendzie Hufca w różnych okresach czasu:

— ks. Eugeniusz Ciszewski, Hieronim Rutkowski, Kazimierz Jarachowski, Henryk Banach, Roman Mazurkiewicz, Tadeusz Świata, Jerzy Matuszewski, Tadeusz Krajewski, Janusz Szymański, Tadeusz Markowski, Władysław Majkut, Cezary Ikanowicz, Edmund Adamczewski, Stefan Rutkowski.

Hufiec posiadał bardzo mało instruktorów o pełnych uprawnieniach, co powodowało trudności w odbieraniu przyrzecze-



Defilada w dniu 24 IV 1949 r.

nia harcerskiego. Pierwsze przyrzeczenie odbyło się na biwaku w Zaborze latem 1946 r. oraz na placu Słowiańskim w dniu 5.09.1946 r. Odbierał je phm. Warchoń. Później przyrzeczenia odbierał phm. Krajewski oraz przebywający czasowo w dniach 25.04 i 30.05.1948 r. hm. Tatomir.

Obozy harcerskie

Ukoronowaniem całorocznej pracy drużyn były organizowane w okresie letnim obozy. Latem 1946 roku były one organizowane przez same drużyny. I tak: 1 DH miała obóz w Dioszkowie, 2 DH w Czerwieńsku, 4 DH w Jędrzychowie. Odbyły się też obozy w Nietkowie i Jerzmanowie gdzie obozowały 7 i 6 Drużyna Harcerzy.

Od 1947 r. obozy organizowane były przez komendy Hufca. W tym roku zgrupowanie składające się z pięciu podobozów, rozbiło swe namioty w lesie nad jeziorem Strzeleckim w pobliżu Chodzieży. Komendantem był Janusz Szymański. Obóz trwał od 7 lipca do sierpnia 1947 r.

W roku 1948 obóz hufca odbył się w okresie od 12.07. do 3.08. w miejscowości Olejnica w pow. wolsztyńskim nad jeziorem. Były trzy podobozy. Komendantem był phm. Tadeusz Krajewski. Uczestniczyło w nim 120 osób. Był to obóz z programem Harcerskiej Służby Polsce.

Także w roku 1949 zorganizowano obóz na zasadzie zgrupowania. Odbył się on w okresie od 10. do 30.07.1949 r. w okolicy Kudowy Zdroju. Podobozy rozrzucone były w miejscowościach: Czerne, Pstrążyna, Bukowina. Brali w nim udział również nie zrzeszeni uczniowie szkół zielonogórskich. Komendantem zgrupowania był Janusz Szymański.

Kursy i szkolenia

Dla lepszego zorganizowania pracy w drużynach w zimie 1945-46 r. zorganizowany został kurs zastępowych. W kursie tym uczestniczyła grupa 15. harcerzy. Kierownikiem kursu był Tadeusz Świata. Na zakończenie kursu odbyło się w dniu 17.03.1946 r. przyrzeczenie, które odbierał hm. Jan Poplewski z Poznania. Latem 1946 r. kilku harcerzy-funkcyjnych, uczestniczyło w kursie drużynowych organizowanym przez chorągiew. Ukończyło go pięciu harcerzy.

5.10.1947 r. rozpoczął się kurs zastępowych przy nowo powstałej II DH. Prowadził go T. Markowski. Ukończyło go 18. harcerzy.

W dniu 31.10.1948 r. rozpoczął się kurs drużynowych. Kurs ten zorganizowały komendy hufców harcerki i harcerzy. Trwał do 13.03.1949 r. a brało w nim udział 69 osób.

Od miesiąca lutego do czerwca 1949 r. odbył się kurs drużynowych zuchowych, prowadzony przez T. Markowskiego. Ukończyło go 10 osób.

Stopień Harcerza Rzeczypospolitej posiadało dwóch starszych harcerzy. Harcerza Orlego – dziewięciu druhów, a stopień ćwika – trzech.

Harcerska Służba Polsce

W roku 1948 władze harcerskie zainicjowały wielki program pod nazwą „Harcerska Służba Polsce”. Był to program mający na celu wciągnięcie młodzieży harcerskiej do prac w okresie planu trzyletniego odbudowy Polski. Chodziło o to, by na miarę dziecięcych i młodzieżowych sił podejmować pracę społeczno-użyteczną na rzecz gospodarki i społeczeństwa. Wybór tych prac pozostawiono drużynom harcerskim. Proponowane do podjęcia zadania zostały podzielone na cztery grupy:

1. Las i rola (walka ze szkodnikami, pomoc w żniwach itp.),
2. Kultura i oświata (pomoc przy radiofonizacji, repolonizacja itp.),
3. Odbudowa kraju (pomoc przy budowie szkół, boisk itp.),
4. Służba dziecku i zdrowie (opieka nad dziećmi itp.).

Ten program stał się treścią pracy drużyn w szczególności drużyn starszoharcerskich.

Niniejsze opracowanie przedstawia w zasadzie tylko niektóre sprawy drużyn hufca męskiego. Brak jest szczegółowych danych dotyczących działalności harcerki oraz ruchu zuchowego.

Według nielicznych danych organizatorkami harcerskiego hufca żeńskiego były Emilia Prędkiewicz, późniejsza komendantka oraz Irena Flamówna. Jako hufcowa wymieniana jest również Helena Jerome. Temat ten czeka jednak na szczegółowe opracowanie.

Organizatorem i drużynowym pierwszej drużyny zuchowej był Stefan Rutkowski, pełniący później funkcję namiestnika zuchów. Przez jakiś czas bliżej nieokreślony funkcję namiestnika pełniła druhna Olga Modzelewska.

W dniu 21 marca 1948 r. została zorganizowana w Zielonej Górze „Wielka Gra” terenowa o tytuł „Drużyny Wiosennej”. Gra odbyła się na terenach przyległych do parku miejskiego. Brały w niej udział wszystkie drużyny harcerskie. Na zakończenie odbyło się harcerskie ognisko.

We wrześniu 1948 r. powstał w Zielonej Górze Harcerski Klub Sportowy. Miał on sekcję piłki nożnej oraz lekkoatletów. 18.09.48 r. odbyły się igrzyska sportowe organizowane przez

Hufiec. Zawody te odbyły się na boisku przy ul. Wyspiańskiego. Startowano w konkurencjach lekkoatletycznych.

W 1946 r. zorganizowany zostaje przy Kom. Hufca referat Harcerskiej Służby Informacyjnej z trzema działami: imprezowym, fotograficznym i świetlicowym.

Siedziba Komendy Hufca na przestrzeni lat 1945-1949 zmieniała się kilkakrotnie. Pierwszą – bardzo krótko – był budynek nr 36 przy ul. Niepodległości, a ostatnią – przez około trzy lata – budynek nr 11 przy ulicy Zielonej.

W 1946 roku delegacja hufca uczestniczyła w Krośnie Odrz. w zlocie z okazji poświęcenia sztandaru pułkowego – Jednostce Wojsk Ochrony Pogranicza. W tym też roku hufiec podjął próbę organizacji orkiestry dętej i smyczkowej oraz pracowni zabawek, a także pracowni intrologatorskiej. W roku 1946 zaczęto wydawać pismo pod nazwą „Wici naszego Hufca”. Pismo wydawane było na powielaczu spirytusowym. Niestety ukazywały się tylko cztery numery tego pismka.

Z cyklu: instruktorzy ZHP Ziemi Lubuskiej

WALENTY PATERSKI



Podharcistrz Walenty Patercki, syn Marcina, urodził się 7 stycznia 1905 r. w Poznaniu. Od najmłodszych lat związany z harcerstwem. W 1911 r. był „Wilczkiem”. W roku 1915 złożył przyrzeczenie skautowskie. Kapeluszem skautowskim cieszył się jedynie do 1916 r., gdy w zaborze pruskim Niemcy rozwiązali organizację skautowską. W 1922 r. był drużynowym w 12. drużynie harcerzy im. J. H. Dąbrowskiego w Poznaniu. W 1927 r. jest żołnierzem – ułanem w 17. Pułku Ułanów w Lesznie. Po powrocie z wojska jest ponownie drużynowym, tym razem w Śremie, dokąd przenosi się wraz z rodziną. Funkcję tę pełni do wybuchu II wojny światowej.

Po wyzwoleniu w maju 1945 r. przybywa wraz z rodziną do Nowej Soli, gdzie w lipcu razem z kilkoma harcerzami organizuje pierwsze drużyny harcerskie. W styczniu 1946 r. jest przybocznym hufcowego, a następnie od 1 sierpnia 1946 r. przejmuje obowiązki hufcowego. Organizuje Dom Harcerza. Działa do czerwca 1949 roku w ZHP.

W październiku 1956 ponownie włączył się do pracy obejmując funkcję hufcowego. Organizuje kursy drużynowych. Odbiera pierwsze przyrzeczenia harcerskie, po którym harcerze w zwartym szyku udają się do kościoła. Za podjęcie tej decyzji zostaje odwołany z funkcji hufcowego. Nie załamuje się. Dalej pracuje z młodzieżą. Obejmuje drużynę, a następnie pełni funkcję przewodniczącego Komisji Rewizyjnej w Hufcu.

Przechodzi na emeryturę. Z harcerstwem nie zrywa jednak związków. Działa w różnych organizacjach społecznych. Jest szanowanym obywatelem miasta. Za swoją działalność odznaczony został Złotym Krzyżem Zasługi oraz Krzyżem ZHP Odszedł na „wieczną wartę” 21.06.1987 roku, w wieku 82 lat, żegnany przez liczne grono oddanych mu harcerzy i instruktorów, dla których był wzorem do naśladowania.

* * *

W latach 1948-49 zaszły w harcerstwie poważne zmiany. Dotyczyły one postaw ideowych i spraw organizacyjnych. Zmieniono Prawo i Przyrzeczenie Harcerskie. Ograniczono przynależność do lat 16. Wprowadzono masowość w przynależności, często połączoną z wywieraniem nacisku na młodzież. Wprowadzono nazwy nowych stopni harcerskich.

Nastąpiła coraz większa ingerencja czynników politycznych w działalność ZHP, na koniec likwidacja Związku Harcerstwa Polskiego i powołanie w to miejsce Organizacji Harcerskiej Polski Ludowej, stanowiącej jeden z wydziałów ZMP. Stopniowo odchodzi nie tylko kadra instruktorska, ale także i młodzież nie mogąca pogodzić się z narzucanymi zmianami. Harcerstwo jednak przetrwało.

Wiesław Cieśla
Harcistrz

ZBIGNIEW GŁOGOWSKI



W dniu 23 stycznia 1989 r. odszedł na „wieczną wartę” pdw. Zbigniew Głogowski, człowiek prawy, szczery Polak, patriota i przyjaciel młodzieży harcerskiej w Zielonej Górze. Znaczną część swego krótkiego, ciekawego życia wykorzystał na działalność harcerską na terenie miasta Zielonej Góry i Żagania.

Przybył do Zielonej Góry w 1945 r. i natychmiast czynnie włączył się w nurt pracy w ZHP.

Opiekował się każdym, pomagał wszystkim. A był to okres szczególny. Skończyły się działania wojenne i na Ziemiach Odzyskanych osiedlali się Polacy, przybyli ze wszystkich stron. Dla coraz liczniejszej ludności, a w tym młodzieży, organizowano kolejne miejsca do pracy i nauki, w tym również drużyny harcerskie. Wśród organizatorów rej wodził Zbigniew Głogowski. Jego sylwetkę widać było wszędzie. Szczególnie widoczna była jego rogatywka, której otok ozdobiony był małymi muszelkami. Wzbudzały one zazdrość wielu instruktorów.

Z. Głogowski był organizatorem IV drużyny harcerzy im. ks. Józefa Poniatowskiego, Harcerskiej Służby Informacyjnej przy Komendzie Hufca. Organizował wiele imprez harcerskich, biegów i ognisk. Wchodził również w skład komend obozowych. Zmuszony do zmiany miejsca zamieszkania przeniósł się w 1948 r. do Żagania, gdzie również włączył się do pracy w ZHP, zostając komendantem Hufca. Pogarszający się klimat wokół ZHP spowodował, że w 1949 r. odchodzi z szeregow harcerskich.

Kiedy w 1957 roku reaktywowano ZHP, stanął ponownie w szeregach służby harcerskiej. Reaktywował IV drużynę. Pomagał organizować inne. Uczył nowych harcerzy historii naszej organizacji. Wszedł w skład komendy Szczepu „Grunwald” oraz Komendy Hufca. W 1957 roku zostaje hufcowym w Zielonej Górze. Zwiększone obowiązki zawodowe i rodzinne zmusiły go do ograniczenia się w pracy harcerskiej. Od 1968 r. udziela się tylko sporadycznie. Kres działalności przerywa nagła, niespodziewana śmierć w 59 roku życia. Zabrała z naszych szeregów wiernego syna Polski.

Wiesław Cieśla
Harcistrz

DZIEJE

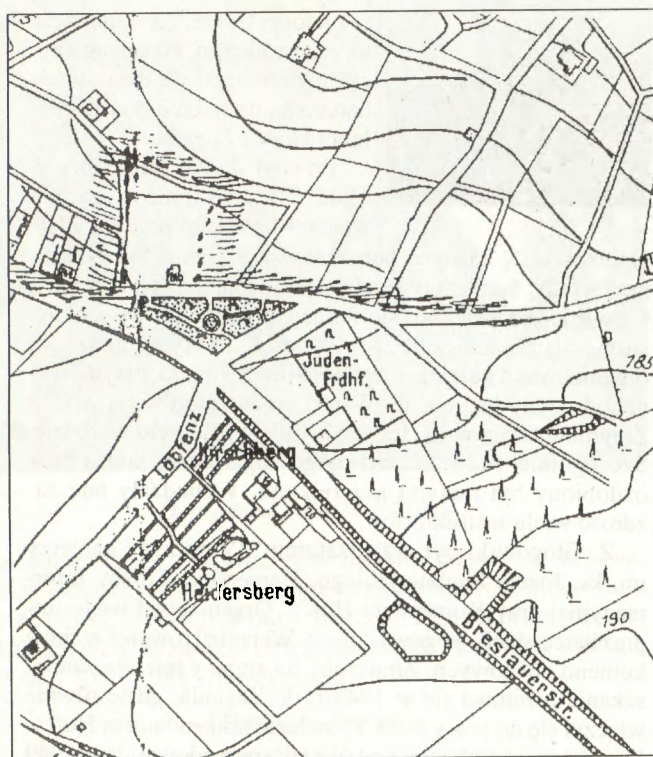
Małgorzata Twarowska

zielonogórskich cmentarzy

Zielonogórski cmentarz żydowski

Pierwsi Żydzi, którzy przybyli do Zielonej Góry dość wcześnie, bo już w średniowieczu, nie mogli utworzyć samodzielnej gminy wyznaniowej, gdyż nie posiadali odpowiednich uprawnień. Dopiero początek XIX stulecia przyniósł Żydom zielonogórskim i glogowskim powstanie gminy izraelickiej. Warunkiem funkcjonowania takiej gminy był dom modlitwy, czyli synagoga oraz cmentarz.

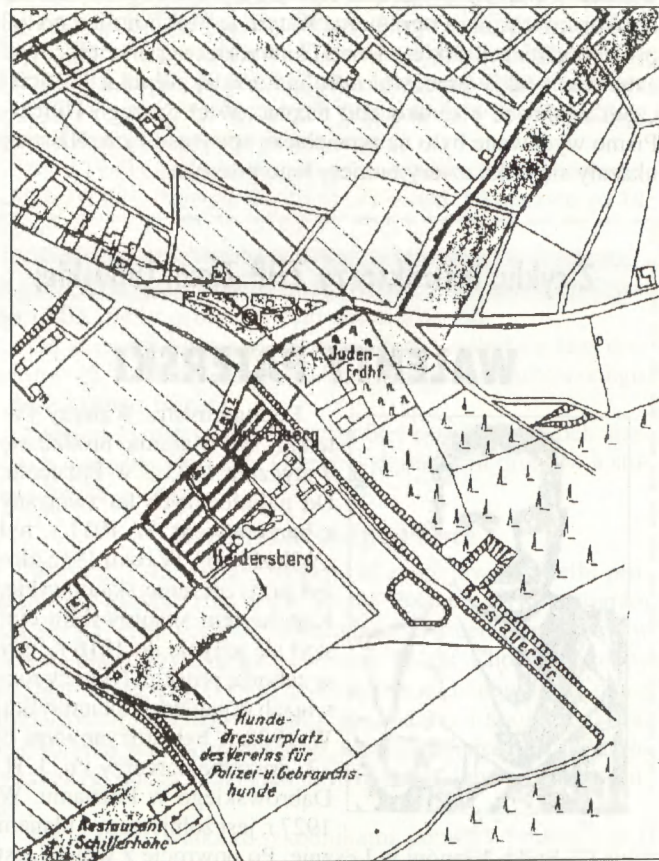
Zezwolenie na utworzenie własnego cmentarza Żydzi otrzymali w 1814 roku. Był to teren przy zbiegu dzisiejszych ulic Wrocławskiej i Chmielnej. Cmentarz ten został zaznaczony na planach Zielonej Góry z okresu międzywojennego.



Cmentarz żydowski przy zbiegu ulic dzisiejszych ulic Wrocławskiej i Chmielnej. Fragment planu miasta z 1926 roku.

Jerzy Majchrzak w swojej pracy o dziejach Zielonej Góry pisze, że „do tego okresu chowano obywateli miasta wyznania mojżeszowego w ściśle izolowanej kwaterze cmentarza Jakubowego, a także w wydzielonym rewirze cmentarza św. Trójcy.”

Żyjąca w Zielonej Górze nieliczna, lecz wywierająca duży wpływ na gospodarczą i handlową działalność miasta, grupa izraelitów nie posiadała prawa nabywania ziemi na własność. W 1812 roku ukazał się edykt królewski, który znosił ów zakaz.



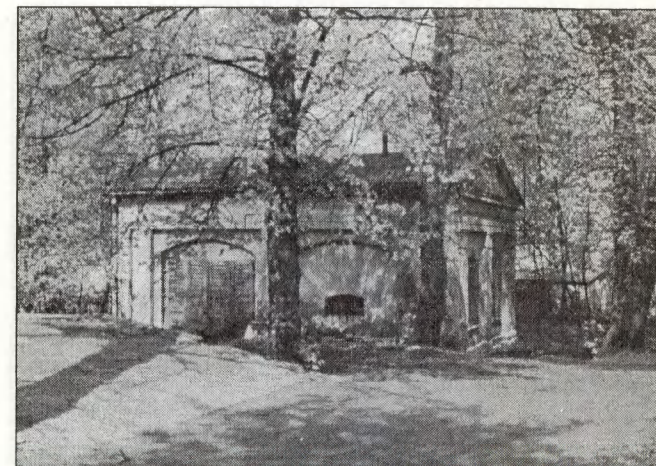
Cmentarz żydowski zaznaczony na planie miasta ze stycznia 1939 roku.

Jeszcze w tym samym roku, latem, starszy gminy żydowskiej, doktor praw Zachariasz Anders, wystąpił z petycją o zakup ziemi pod cmentarz izraelicki. Rada Miejska wniosek przyjęła i wkrótce rozpoczęły się prace nad ukształtowaniem terenu pod przyszłą nekropolię izraelicką.

Dziś teren dawnego cmentarza żydowskiego jest podzielony. Na obszarze tym znajduje się kaplica pochodząca z I połowy naszego stulecia oraz fragmenty muru ogrodzeniowego cmentarza z II połowy XIX wieku. Kaplica jest zaniedbana i służy jako składnica harcerska, którą prawdopodobnie dzierżawi harcerze zielonogórscy.

W części prywatnej miejsca cmentarnego znajdują się warsztaty samochodowe. Teren wokół kaplicy oraz miejsce pocmentarne są zaniedbane i porośnięte gęstym podszytem. Załączona fotografia przedstawia widok na kaplicę cmentarną na dawnym cmentarzu żydowskim.

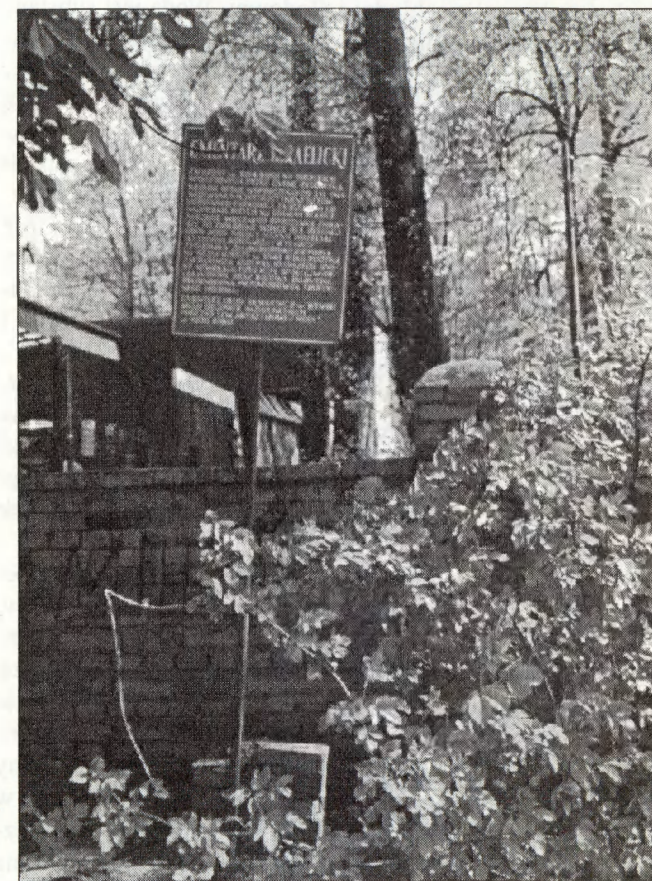
Przy fragmentach muru ogrodzeniowego znajduje się tablica informacyjna o następującej treści: „Cmentarz izraelicki. Założony w 1814 r. na gruntach wykupionych przez gminę żydowską. Według opinii współczesnych był prawdziwym »majstersztykiem« sztuki ogrodowo-parkowej, zaliczanym do



Kaplica cmentarna na dawnym cmentarzu żydowskim przy zbiegu dzisiejszych ulic Wrocławskiej i Chmielnej.

najpiękniejszych na Dolnym Śląsku. Miejsce wiecznego spoczynku znalazły tu zasłużone wielce dla Zielonej Góry rody, m.in.: Wilhelma Levysohna, księgarza i wydawcy »Tygodnika Zielonogórskiego«, posła na Sejm Rzeszy w 1848 roku, rodzina Zachariasza Andersa, starszego gminy, adwokata, działacza społecznego i filantropa oraz rodzina Salomona Beerensohna, przemysłowca tekstylnego, liberała. Cmentarz uległ dewastacji w wyniku akcji bojówek nazistowskich podczas tzw. kryształowej nocy w 1938 roku”.

Załączona fotografia przedstawia fragment muru ogrodzeniowego cmentarza oraz tablicę informacyjną z przytoczoną powyżej treścią.



Fragment muru ogrodzeniowego cmentarza żydowskiego z tablicą informacyjną o samym cmentarzu.

Po utworzeniu własnego cmentarza, gminie żydowskiej w Zielonej Górze pozostało już tylko wybudować synagogę. Wolfgang Brylla w swoim artykule o zielonogórskiej synagodze pisze, że „za dom modlitwy długie lata służyły wynajmowane i adaptowane pomieszczenia przy ul. Masarskiej i Żeromskiego. Prawdziwą synagogę zbudowano dopiero w latach 1882-1883. [...] Poświęcona w kwietniu 1883 roku synagoga stała na pl. Szklarskim (pl. Powstańców Wielkopolskich), nieopodal budynku dzisiejszej filharmonii”. Dziś po żydowskiej świątyni pozostała jedynie reprodukcja fotografii. Podobnie jak cmentarz, synagoga została zniszczona w ramach akcji „kryształowa noc” z 9 na 10 listopada 1938 roku.

Obecnie układ dawnego cmentarza jest nieczytelny z uwagi na zły stan utrzymania. Z nagrobków, jeszcze 10 lat temu, widoczne były wolno stojące relikty. Dziś już są niedostrzegane ze względu na gęste podszycie roślinne i trudno powiedzieć czy w ogóle istnieją. Ze starodrzewia natomiast zachował się kasztanowiec, brzoza oraz lipy.

Radziecki cmentarz wojskowy

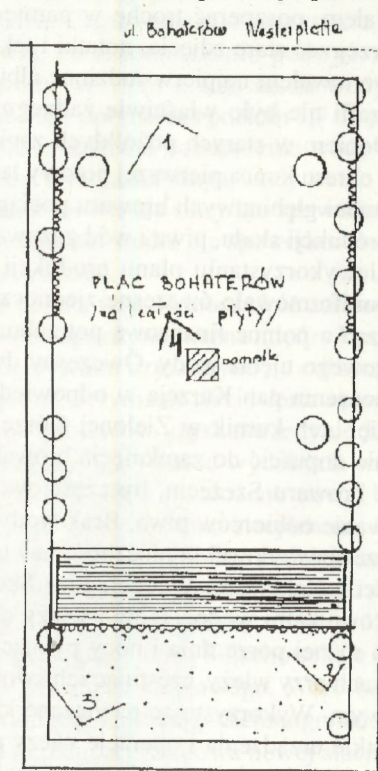
Na obszarze miasta Zielonej Góry znajdował się tylko jeden cmentarz wojskowy, nie licząc pojedynczych mogił żołnierzy poległych na terenie miasta. Na zielonogórskim cmentarzu wojskowym spoczywali od 1947 do 1953 roku żołnierze radzieccy polegli w czasie drugiej wojny światowej.

W latach 1947-1953 miała miejsce w Polsce akcja porządkowania grobownictwa wojennego, w ramach której likwidowano małe cmentarze wojenne i pojedyncze mogiły, tworząc nowe, większe nekropolie i otaczając je staranną opieką. Zintensyfikowanie tych prac nastąpiło w latach 1957-1966, wówczas to na terenie województwa zielonogórskiego powstały m.in. cmentarze poległych żołnierzy radzieckich w Cybince, Koźuchowie, Krośnie Odrzańskim, Wolsztynie, Żaganiu, Żarach.

Zielonogórski cmentarz powstał w 1947 roku w centrum miasta na obszarze dzisiejszego placu Bohaterów, gdzie obecnie, w okresie rocznic i świąt narodowych, odbywają się apele i uroczyste defilady, zaś na co dzień jest to miejsce odpoczynku mieszkańców miasta.

Zamieszczony szkic przedstawia plan sytuacyjny miejsca pocmentarnego.

W ciągu trzech lat (1947-1949) na cmentarz zielonogórski przeniesiono ekshumowane zwłoki żołnierzy radzieckich poległych na terenie byłego powiatu



al. Niepodległości

Plan sytuacyjny dawnego cmentarza żołnierzy radzieckich na obecnym placu Bohaterów.

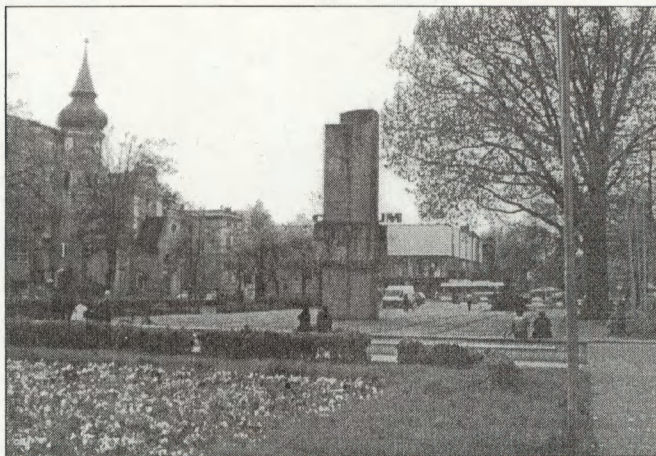
zielonogórskiego: w Raculi, Kiełpinie, Konotopie, Kolsku, Bojadłach i innych miejscowościach oraz pojedyncze mogiły żołnierzy poległych w Zielonej Górze i okolicach.

Ostatecznie na cmentarzu wojskowym w centrum Zielonej Góry spoczęło 209 żołnierzy radzieckich. W 1953 roku cmentarz zlikwidowano przenosząc ekshumowane zwłoki na cmentarz wojskowy w Gorzowie Wielkopolskim.

Dziś miejsce cmentarne zastąpił, jak można przeczytać w przewodniku po województwie zielonogórskim „pięknie zadrzewiony pl. Bohaterów ze smukłą bryłą piaskowcowego pomnika Bohaterstwa Broni pośrodku”.

Pomnik-obelisk, wzniesiony według projektu Anny Krzyżańskiej, odsłonięto w 1965 roku. Obok pomnika znajduje się płyta pamiątkowa z napisem: „Bohaterom II wojny światowej – mieszkańcy miasta”.

Na miejscu dawnego cmentarza żołnierzy radzieckich zarejestrowano jeden pomnik przyrody – jest nim dąb. Poza tym występują lipy, młodsze dęby, jeden klon i jeden buk. Teren utrzymany jest wzorowo, na fragmencie rosną sezonowe kwiaty, plac jest pokryty płytami i brukiem, a w części południowej



Widok na północno-zachodnią część placu Bohaterów w Zielonej Górze.

znajduje się fontanna. Układ cmentarza jest całkowicie nieczytelny, gdyż nekropolia uległa likwidacji.

waru, do namawiania pracowników wieży ciśnień do odkręcania zaworów wodnych zasilających browar. Bardzo często wchodziłem potajemnie nocami na wieżę ciśnień i osobiście odkręcałem zawory bez wiedzy zatrudnionych tam pracowników, zapewniając tym samym załodze browaru zatrudnienie i wykonywanie zadań planowych oraz remont i budowę własnych ujęć – studni. A co najważniejsze – rozbudowę i modernizację całego browaru, piwnic leżakowych, fermentowni obciążu pieca beczkowego i butelkowego, kotłowni, bocznic, chłodni i słodowni. Woda jest substancją konieczną do istnienia życia na Ziemi. Obok wody, nazwijmy ją, normalnej, tj. opadowej, rzecznej, gruntowej itp., która jest powszechnie używana przez człowieka, istnieją wody charakteryzujące się specyficznym smakiem i zapachem. Woda, która ma wyraźnie odmienny smak, zapach lub jeszcze inne własności, może być naturalną wodą mineralną lub sztuczną, tj. taką, do której zostały dodane różne związki chemiczne w celu nadania jej cech naturalnej wody mineralnej. Historia naturalnych wód mineralnych rozpoczyna się z chwilą odkrycia pierwszych źródeł tych wód i korzystania z nich przez człowieka.

Stare kroniki wspominają często o „wodach cudotwórczych”, świętych źródłach itp. Te „cudotwórcze wody” nie były niczym innym jak wodami zawierającymi różne związki chemiczne w postaci rozpuszczonych soli i gazów, najczęściej dwutlenku węgla, które wpływają wybitnie na smak wody.

Wody naturalne występujące w przyrodzie można podzielić na wody powierzchniowe, takie jak rzeki, jeziora, stawy, sztuczne zbiorniki oraz wody podziemne. Wody podziemne w zależności od głębokości warstwy wodonośnej dzieli się na podskórne (do kilku metrów), gruntowe (do kilkunastu metrów) i głębokie (ponad 20 metrów). Wody opadowe spływając przez glebę, a następnie warstwy piasku i gliny powodują rozpuszczenie różnych składników. Stąd też w wodzie występuje duża ilość różnych substancji chemicznych, przy czym ich ilość i jakość jest bardzo zróżnicowana w zależności od struktury warstw ziemi nad warstwą wodonośną, od uprzemysłowienia danej okolicy, gęstości zaludnienia itp. W wodach występują również zanieczyszcze-

nia organiczne i mikrobiologiczne. Najbardziej zanieczyszczone pod względem sanitarnym są wody powierzchniowe, a przy wodach głębinowych woda jest tym czystsza, im studnia jest głębsza, gdyż występuje tu samoczyszczenie wody.

Sole mineralne rozpuszczone w wodzie są to przede wszystkim sole wapnia i magnezu, które tworzą twardość ogólną. Wapń i magnez występujący w formie węglanów tworzy twardość węglanową czyli przemijającą. Pozostałe sole wapnia i magnezu, a więc głównie siarczany i chlorki tworzą twardość niewęglanową czyli stałą. W zależności od ilości soli wapnia i magnezu określa się wody jako miękkie lub twarde. Woda może być poddawana następującym procesom korekty:

- usuwanie smaku i zapachu, zwykle przez dodatek węgla aktywowanego lub przepuszczanie wody przez kolumny wypełniane węglem aktywowanym,
- klarowanie i odbarwianie przy zastosowaniu koagulantów, takich jak siarczan glinu, siarczan żelazowy i żelazawy oraz chlorek żelazowy,
- odżelazianie wody, najczęściej metodą napowietrzania i filtracji.

Tak przedstawiają się w wielkim skrócie metody korekty wody dla celów spożywczych i technologicznych. Ogólnie wiadomo, że jakość wody jest ważnym czynnikiem jakościowym i prawda ta nie jest kwestionowana. Jednak wiemy również wszyscy jak niewiele zakładów wodociągowych prowadzi korektę wody. Wydaje się konieczne, aby zagadnienie wody miejskiej znalazło właściwe zrozumienie władz naszego miasta.

Miejskie wodociągi w latach 1875-1945

W 1875 r. zmieniono sposób zarządzania siecią. Powołano wówczas oddzielny, ale zależny od magistratu Zakład Wodociągów Miejskich. Przystąpiono wówczas także do istotnych zmian w sposobie pozyskiwania i dostarczania wody do miasta. Opracowanie projektu i przeprowadzania nowej sieci wodociągowej zlecono firmie AIRD et MARE z Berlina. W latach 1875-1878 dokonała ona zasadniczej rozbudowy wodociągów zielonogórskich. Przy skrzyżowaniu ulic Strzeleckiej i Słowackiego wzniesiono ogromny zbiornik o poj. 430 m³. Poniżej zbiornika, na rozległym placu ćwiczeń Bractwa Kurkowego, wywiercono osiem studni. Woda z tych studni przy pomocy systemu rur była dostarczana do zbiornika, z którego pod ciśnieniem powodowanym siłą grawitacji samoczynnie płynęła nowym rurociągiem prowadzącym ulicą Strzelecką i Grottera do centrum miasta, gdzie był on podłączony do dotychczasowej sieci wodociągowej. Jednocześnie dokonywano przebudowy i modernizacji niektórych odcinków starej sieci.

Nowy system zaopatrywania w wodę umożliwił realizację dalszych podłączeń prywatnych rurociągów do sieci głównej, co było od kilkunastu lat zakazane przez władze miejskie. Już w 1876 r. wykonano dwadzieścia dwa przyłącza prywatne. Do 1878 r. założono trzydzieści jeden prywatnych przyłączy oraz sprowadzono nitkę wodociągu do Fabryki Aparatury i Maszyn Przędzalniczych przy ul. Dąbrówki. W tym roku upłynął także termin gwarancyjny dla nowej sieci, jaki firma AIRD et MARE udzieliła dla wodociągu. Dalsze naprawy bieżące były zlecane ślusarzowi Juliuszowi Nierthowi. W roku następnym okazało się, że dostawą wody są zainteresowane miejscowe zakłady przemysłowe. Dlatego też, głównie na wniosek spółki Manufaktur

Wełnianych zlecono firmie AIRD et MARE pobudowanie dalszych dwóch studni przy ul. Sowińskiego i przeprowadzenie nowego, sześciocalowego wodociągu w kierunku miasta, który został przyłączony do sieci. Wymieniono także rury prowadzące do placu Słowiańskiego, zlikwidowano ze względów sanitarnych kaskę przy ulicy Masarskiej oraz przedłużono rurociąg wzdłuż ulicy Wrocławskiej. Do końca marca 1880 r. przybyło w mieście dalszych pięćdziesiąt dziewięć podłączeń prywatnych.

W 1883 r. okazało się, że pogłębiają się problemy związane z niedoborem wody w mieście, zwłaszcza, że lato tego roku było suche i wydarzył się w mieście pożar. Zgodnie z opinią współczesnych, podczas akcji ratowniczej zużyto tak dużo wody, że naruszono delikatną równowagę między wydajnością studni, a zapotrzebowaniem mieszkańców. Poziom wody w studniach szybko się obniżał.

W 1886 r. założono po raz pierwszy nowoczesną pompę ciśnieniową dostarczoną przez miejscowy Zarząd Kopalni Węgla Brunatnego. Pompa ta była poruszana przez silnik parowy, co wymagało budowy dodatkowego pomieszczenia i spowodowało kolejne wydatki z budżetu miasta. Niemniej jednak przez kilka lat Zarząd Wodociągów Miejskich potrafił zapewnić dostawy wody zgodnie z zapotrzebowaniem mieszkańców i lokalnego przemysłu.

W 1888 r. liczba prywatnych przyłączy zwiększyła się do stu pięćdziesięciu dwóch. Mimo dużych wydatków w latach poprzednich, wkrótce okazało się, że po niewielkim podwyższeniu opłat sieć wodociągowa może być opłacalna. Na jej utrzymanie wydano w 1888 r. 2314 talarów, a z opłat za dostarczanie wody uzyskano 2869 talarów.

Na początku lat dziewięćdziesiątych XIX w. stwierdzono jednak, że wydajność instalacji pobudowanych w latach 1875-1878 jest zbyt słaba. Często należało korzystać z pomocy maszyny parowej, co automatycznie podwyższało koszty dostarczania wody. W 1893 r. stan lustra wody w studniach osiągnął najniższy dotychczas poziom 1,7 m, podczas gdy projekt z 1875 r. zakładał dostarczenie wody bez ograniczeń jedynie przy wysokości słupa wody około 5,5 m. Naciśki mieszkańców na władze miejskie spowodowały, że obniżanie się wydajności studni nie spowodowało rezygnacji z dalszych przyłączy.

W 1893 r. było ich trzysta trzy. Jednocześnie zachwiała się dotychczasowa równowaga ekonomiczna między kosztami utrzymania sieci a wpływami uzyskanymi od odbiorców wody. W 1893 r. wydano na utrzymanie sieci i dostawę wody ponad 9000 marek, a od odbiorców uzyskano jedynie 5561 marek. Planowano zwiększyć aktywność wydobywania wody poprzez nowe inwestycje. W 1893 r. założono nową, bardziej wydajną pompę oraz zainstalowano stacjonarną, tańszą w eksploatacji maszynę parową. Dwa lata później wzniesiono dla tych instalacji oddzielny budynek na wzgórzu przy ulicy Kordiana, zwany stacją ciśnień. Jednocześnie w 1895 r. przedłużono wodociąg biegnący ulicą Sulechowską o dalsze 900 metrów, aż do przejazdu kolejowego. Wzrosła też liczba przyłączy prywatnych. Rurociągi zielonogórskie liczyły wówczas 13400 m długości. Budowa nowej stacji ciśnień była tylko wstępem do dalszych inwestycji. Zlecono badania gruntu. W rejonie ulicy Wodnej i Słowackiego uzyskano bardzo dobre wyniki. W wykonanych tam ośmiu odwiertach potwierdzono wysoką jakość.

cdn.

Stanisław Pralat

WIEŻA CIŚNIEŃ. WODOCIĄGI ZIELONEJ GÓRY

Na jednym z zebrań zespołu redakcyjnego Kwartalnika „Pionierzy” padła propozycja napisania wspomnienia o istniejących wodociągach i wieży ciśnień w Zielonej Górze. Z początku rzecz wydawała mi się prosta. Wystarczy, pomyślałem, poszperać trochę w pamięci, popytać znajomych, przejrzeć stare zdjęcia, notatki i tekst będzie gotowy. Przewertowałem najpierw rodzinne albumy. Wśród wielu fotografii nie było właściwie żadnego zdjęcia wieży ciśnień. Dopiero w starych pożółkłych zapiskach i wspomnieniach z okresu końca pierwszej połowy lat pięćdziesiątych awaria studni głębinowych browaru pociągnęła za sobą przerwę w produkcji siodu, piwa i wód gazowanych. O braku wody i o niewykorzystaniu planu produkcji kierownictwo browaru poinformowało ówczesne zjednoczenie w Warszawie, prosząc o pomoc finansową potrzebną na szybkie wykonanie nowego ujęcia wody. Ówczesny dyrektor techniczny zjednoczenia pan Kurzeja w odpowiedzi na powyższe wyraził się: „ten kurnik w Zielonej Górze należy zamknąć”. Aby nie dopuścić do zamknięcia browaru sprowadziliśmy piwo z browaru Szczecin, by częściowo zaspokoić zapotrzebowanie odbiorców piwa. Brak wody produkcyjnej w browarze spowodował konieczność nawiązania bliższej znajomości z Zakładami Wodociągów. Skontaktowałem się z pracownikami wodociągów i wieży ciśnień, odwiedzałem ich o różnej porze dnia i nocy pytając o stan wody w zbiornikach przy wieży, częstując ich swoim tzw. piwem deputatowym. Wykorzystując nawiązane kontakty poznałem wszystkie urządzenia i operacje wieży i sieci wodociągów miasta. Akcja wieża została przez nas wykorzystana, zdecydowaliśmy się na połączenie własnej pompy wodnej o dużej wydajności do sieci miejskiej, co umożliwiło kierowanie wody z miasta do zbiorników wodnych browaru. W tym czasie miasto odczuwało braki wody i zamykało na wieży ciśnień zawory na rurociągach wody w kierunku browaru. Taka gospodarka wodna zmuszała nas, kierownictwo bro-



Łęgi nadodrzańskie, lewa strona rzeki, najbliższej położone Zielonej Góry, obejmują obszar zawarty między:

- rzeką Odrą od północy i wschodu,
- drogami Przytoczki-Rajewo-Przytok-Jany-Zawada-Krępa-Wysokie-Czerwieńsk od południa,
- linią kolejową Czerwieńsk od mostu koło Nietkowic od zachodu.

Jest to dolina Odry szerokości po lewej stronie od 3,0 do 4,5 km o bogatej i różnorodnej szacie roślinnej. Na terenie doliny znajdują się starorzecza, łąki, pola uprawne, nieużytki, siedliska krzewów i drzewostany. Starorzecza na łęgach to akweny różnej wielkości, odpływowe i nieodpływowe oraz oczka wodne o nieregularnych brzegach (5 akwenów w kształcie podków). Akweny i oczka porośnięte są wkoło lasem i niską roślinnością. Bliżej wody występują rośliny łąki podmokłej, a tam, gdzie rośliny stoją w płytkiej wodzie, zespoły szuwarów. Sąsiadują one z pasem trzin wodnych i innych roślin głębszej wody. Starorzecza powstały po regulacji Odry. W drugiej połowie XIX w. w celu zabezpieczenia terenów nadrzecznych przed niszczycielskim działaniem wody - powodziom, zwiększenia szybkości biegu rzeki i ułatwienia żeglugi przeprowadzono jej regulację. Polegała ona na wyprostowaniu nadmiernie występujących serpentyn (zakoli), poszerzenie zwężeń i pogłębieniu koryta. Aby zabezpieczyć brzegi przed wylewem wody wybudowano wzdłuż rzeki wały ziemne, a koryto zabezpieczono tzw. główkami (ostrogami) wyłożonymi kamieniami. Operacja ta, bardzo kosztowna, spowodowała skrócenie Odry o prawie 180 km. Nie dała żadnych gwarancji na zabezpieczenie przed większym napływem wody, a wręcz przeciwnie ułatwiła rozlewanie się rzeki (mniejsza powierzchnia koryta, szybszy bieg rzeki itp.).

Roślinność w dolinie rzeki, wielkości, rodzaje i gatunki uzależnione są od gleb, siedlisk okresowo zalewanych, podtapianych lub podtopionych oraz od wahań poziomu wód gruntowych w ciągu roku. Łąki łęgowe o bujnej, urozmaiconej roślinności złożonej z wysokich traw i poszycia, zajmują największy obszar doliny. Poza trawami porastają one niestety również drzewiastymi krzewami. Część łąk położonych wyżej w pobliżu osiedli mieszkańcy wykorzystywali dla celów rolniczych i ogrodniczo-sadowniczych. Obecnie znaczną część terenu poprzednich upraw stanowią nieużytki. Drzewostany występują głównie liściaste. Tworzą one zwarte stanowiska, zagajniki, kępki i rosną jako pojedyncze drzewa. Stopień wilgotności i jakości gleb decyduje o gatunkach. W pobliżu nurtu rzeki i starorzecza rosną wierzbę, topole, olchy i inne. Dalej przed lub za wałami spotykamy dęby, jesiony, klony, wiązy itp. Wszędzie rosną różne gatunki drzewiastych krzewów. Świat zwierzęcy do lipca 1997 r. w dolinie Odry był jednym z najbogatszych regionów naszego województwa. Nikła penetracja człowieka i odpowiednie warunki bytowania doprowadziły do rozmnożenia się różnej zwierzyny. Spotykało się jelenie, lisy, samy, dziki, ptactwo wodne i nizinne, płazy, gady, ślimaki, owady, mrówki itp.

Omawianą doliną płyną dwie rzeki: Odra i Zimna Woda. Odra, jedna z największych w zlewisku Morza Bałtyckiego, druga co do długości w Polsce. Wypływa w Czechach w Górach Oderskich (Sudety) na stoku góry Fidlur na wysokości 634 m n.p.m. i posiada długość 854 km (w granicach Polski 742 km). Początkowo ma charakter rzeki górskiej, osiągnąwszy Bramę Morawską zmniejsza spadek i dalej płynie przez Kotlinę Raciborską, Koźle, Opole, Wrocław, Głogów, Bytom Odrzański, Nową Sól, Cigacice, Krosno Odrzańskie, Słubice, Kostrzyn, Szczecin, Zalew Szczeciński do Bałtyku. Od Koźła do Dolnego Brzegu Odra w czasie regulacji została skanalizowana. Na odcinku 186 km wybudowano 23 stopnie wodne (różnica poziomu wody wynosi 64 m). Rzeka przyjmuje wiele praw i lewostronnych dopływów. Jest rzeką graniczną na odcinku 160 km między Polską a Niemcami. Odra na długości 461 km jest żeglowna, stanowi najlepszą w Polsce drogę wodną. Największym problemem żeglugi są w okresach braku opadów niskie stany wody (średnia głębokość w naszym regionie wynosi 2 m).

Odrą na całym odcinku zielonogórskim (ma on długość 158 km) płynie woda tzw. pozaklasowa, zanieczyszczona substancjami chemicznymi. Najwyższe stężenie chlorków występuje w okolicach Nowej Soli, a stężenie cynku w pobliżu Uradu. Zatrują Odrę Czesi i Niemcy, sąsiednie województwa oraz lokalne ścieki komunalne odprowadzane do rzeki i dopływów.

Zimna Woda, długości 64 km wypływa spod wsi Wielobłota i płynie przez lasy i łąki łęgowe. Po minięciu linii kolejowej Czerwieńsk-Nietkowitz skręca na południe i płynie przez Nietków oraz Laski i wpada do Odry koło Krosna Odrzańskiego. Od źródła aż do Czerwieńska wody rzeki nie notują zanieczyszczeń. Dopiero po przyjęciu wód Złotego Potoku (koło Czerwieńska) doprowadzającego ścieki z Zielonej Góry, Zimna Woda aż do ujścia jest ściekiem komunalnym. Jest nadzieja na poprawę po uruchomieniu oczyszczalni ścieków w Łęczycy.

W dolinie całej Odry na łęgach od XIX w. rozpoczęła się na szeroką skalę intensywna hodowla bydła mlecznego i rzeźnego. Bogata w składniki mineralne, bujna, zielona łąkowa pasza w naturalny sposób nawadniana i niskie koszty pozyskania sprzyjały rozwojowi hodowli. Łęgi nadrzeczne nie mają sobie równych w hodowli bydła.

Po 1945 r. i osiedleniu się repatriantów przeważnie ze wschodu, nie podjęto hodowli na większą skalę. Nie sprzyjały temu ówczesne warunki gospodarki rolno-hodowlanej, kolektywizacja, a później drobne gospodarstwa. Nie bez wpływu były okoliczności osiedlania się drobnych rolników i tzw. chłoporobotników, a nie hodowców bydła. Następową więc powolną degradacją łąk łęgowych. Dopiero w latach siedemdziesiątych zareagowały władze wydające decyzje o utworzeniu na łęgach gospodarstw hodowlanych, obsługiwanych przez żołnierzy odbywających zasadniczą służbę wojskową. Adaptowano, odbudowano lub wybudowano nowe obiekty mieszkalne i pomocnicze, obory, doprowadzono do nich energię elektryczną, sieć telefoniczną i utwardzono drogi.

Poczynania te doprowadziły do ponownej hodowli bydła na łęgach. Można było w tym czasie zobaczyć tysiące pasących się krów. Idylla trwała jednak tylko do 1990 r. Ministerstwo Obrony Narodowej podjęło decyzję o wycofaniu żołnierzy z ośrodków hodowlanych i sprzedaży stad, a w tym czasie też władze centralne o likwidacji Państwowych Gospodarstw Rolnych. W ciągu krótkiego czasu nastąpiła dewastacja obiektów i urządzeń i pozostały tylko wspomnienia po hodowli.

cdn.

Jerzy Łatwiński